

małodo drze

ZIELONA GÓRA 4 V 1986 — 17 V 1986 R.
ROK XXX NR 9 [614] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Najnowszy film prod. polskiej — „Dziewczęta z Nowolipek” wg. powieści Poli Gojawicyńskiej w reż. Barbary Sass — na ekranach naszych kin. Na str. 9 plebiscyt — „Wybieramy Gwiazdy Filmowego Sezonu 1985”.

WIDOK Z GNIAZDA

Irena Linkiewicz

Bociany są rodzina ptaków kosmopolitycznych, może dlatego umiejscowili swój posterunek obserwacyjny na stodołę Herty i Józefa Maciejewskich. Stodołę niedzisiejszej, bo budowanej szachulcowo, a więc starodawnie, typowo dla terenów nadwarciańskich, gdzie dominują dziś łąki i pola, a dawniej — błota.

W Puszczy Noteckiej na przykład, gdzie drzew pod dostatkiem, stawiano domy na zrąb, drewniane. Na Błotach Nadwarciańskich do lasu daleko — Budo wano więc tylko drewnianą konstrukcję, tzw. szkieletową, po czym wypełniano ją cegłą lub słomą zmieszaną z gliną; jednym słowem, wszystko zależało od kieszeni... W budynkach inwentarskich, żeby zaoszczędzić cegły, stosowano tzw. „sztrychulę”. Były to żerdzie owinięte słomą, maczane w rzadkiej glinie i stawiane między konstrukcją drewnianą. Cały ten „tort” zarzucało się następnie gliną, a kiedy przeschnała, przecierano ją pieczolowicie i... ścianą gotową. Widać przodkom Herty powodziło się nieźle, skoro budynki inwentarskie i stodoła do dziś czerwienią murem pruskim.

— Boćki moje klekocą na zamówienie! — śmieje się pan Józef, szerokim gestem zagarniając do siebie parkę, bo cianów, stodołę, pięć kasztanów przed domem i wielki szmat rozparzonej wio

sną ziemi. — Kto wie, czy mnie jeszcze ze dwadzieścia wnuków nie przyniosło?! Mam w tej chwili tylko czterech, znaczy się: trzy wnuczki i jednego wnuka! Ha! W tym momencie pan Józef kokie teryjnie sięga wos, którego granat kontrastuje z posiwiłą czupryną...

— Od dawna przylatują boćki?

— Coś z siódmym czy ósmym rokiem przylatują! Podobno kiedyś tu było gniazdo, nu ze sześćdziesiąt lat temu. Ale zwalone było, tak i boćki nie przylatywały jakiś czas...

Drobnutka Hesia zdaje się potwierdzać teorię o przyciąganiu przeciwnych biegunów. Okazały, rumiany Józef przy Hesi jest jeszcze postawniejszy — powiększony o gest i tubalny głos; Hesia zaś przy Józefie — pomniejszona o skrzętność, zapobiegliwość i ciągle zatroskanie. Wróciła właśnie z pobliskiego miasteczka. Jeszcze zziębła na ośmiokilometrowym pedałowaniu na rowerze, biegnie szybko do ogródka pochwalić się pięknie zadbany

rabatami, stanowiącymi barwną dekorację fasady XIX-wiecznego dworku.

— Ha! Ha! A coż by żonka robiła? — przymruża oko pan Józef, wcale nie wycierając obłożonych gumiaków o słomiankę rozłożoną w ganku. Dla fasady — dzwoniący mosiężną kolatką i wcho-dzimy... Najpierw się obszerna, z prawej i lewej strony wiodą drzwi do dużych izb mieszkalnych, sąsiadujących od podwórza z alkierzami. Kuchnia ogromna, unowocześniona piecykiem gazowym, nad którym niebieszcą się jeszcze holenderskie wiatraki ze scenkami rodzajowymi. Jest i suto zaopatrzona spiżarnia. Herb wisi w miejscu wcale nie centralnym; można powiedzieć, że prawie za szafą. Szafa biała, pamiętająca czasy co najmniej trzech pokoleń, odegrała niebagatelną rolę w zyciorysie gospodni, ale o tym później... Na razie oglądamy obramowany czerwonym ornamentem herb po mieczu i kądzieli, przecięty ostrym zygzakem Wisły.

Ciąg dalszy na str. 5

Kultura robotnicza — jaka jest?

Zygmunt Stabrowski

Ponad 40-letnia działalność partii i państwa dowiodła, a na Ziemi Lubuskiej w sposób szczególnie wyrazisty, że socjalistyczna rewolucja kulturalna i udział w niej klasy robotniczej nie jest teorią a realną praktyką. To przecież z inicjatywy PPR, a później PZPR jej członkowie — robotnicy odbudowali po wojnie zniszczone placówki: kina, biblioteki, świetlice i domy kultury. Spontanicznie tworzyli amatorskie zespoły teatralne, taneczne, muzyczne, rozwijali działalność oświatową, szkoleniową i społeczną.

Z inicjatywy i społecznej pasji załogi zielonogórskiej „Polskiej Welny” powstał teatr. Z ruchu zawodowego, z muzyków zakładowych orkiestr dętych, w tym m.in. też z „Polskiej Welny”, wyrosła Państwowa Orkiestra Symfoniczna, przekształcona w Filharmonię Zielonogórską. Wiele zakładów pracy — „Zastal”, PKP w Zielonej Górze i Zbąszyńku utworzyły orkiestry dęte, a spółdzielczość pracy zorganizowała Lubuski Zespół Pieśni i Tańca. Tak powstało wiele zespołów. Dzisiejsze, zielonogórskie ogólnopolskie imprezy także zrodziły się z potrzeb społecznych i inicjatywy związków zawodowych, czego przykładem jest Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny. Dzieciacy Konkurs „Barwy Przyjaźni”. Ten ostatni powstał przecież z inicjatywy działaczy nowosolskiego „Dozamet”. To także aktywność załóg robotniczych przyniosła rozwój infrastruktury kulturalnej, zapoczątkowała nowy wzorec działań, spowodowała ukształtowanie nowych tradycji i zwyczajów, które po przez lata stały się zielonogórską specyfiką.

Takie przedsięwzięcia, jak „Z wizytą w bibliotece”, „Muzeum Ziemi Lubuskiej — zakładom pracy”, „Bachusowe spotkania”, spektakle teatralne, koncerty muzyczne, seanse filmowe — przy-niosły, pomimo krytycznych uwag, wiele efektów.

Świadectwem tego było rozbudzenie w latach 70-tych aktywności kulturalnej środowisk robotniczych i mecenatu zakładów pracy, nie tylko poprzez funkcjonowanie placówek kultury i fundowanie stypendiów twórczych. W województwie zielonogórskim działało wówczas 460 zakładowych placówek, w tym 8 domów kultury, 141 klubów fabrycznych i osiedlowych, 263 świetlice, 43 biblioteki i 5 kin. 230 pracowników kultury zatrudnionych w zakładach prowadziło działalność w 452 zespołach artystycznych, sekcjach i kółkach zainteresowań.

Dzisiejszy obraz uległ niekorzystnym zmianom, wiele się na to złożyło. Rezygnowanie zakładów pracy z mecenatu nad kulturą i stymulowania życia kulturalnego załóg, pogoń za efektami ekonomicznymi, odchodzenie od wypełniania funkcji wychowawczych doprowadziły do stopniowej likwidacji zakładowych placówek i zaniechania cennych inicjatyw. Między innymi „Zastal” zlikwidował Zakładowy Dom Kultury, z utrzymywania Zakładowo-Osiedlowego Domu Kultury stopniowo wycofuje się „Novita”, włókiennicze zagańscy i odlewnicy szprotawscy zlikwidowali kina a „Polska Welna” swoją orkiestrę dętą. Również organizacje związkowe państwowych gospodarstw rolnych przestały wysyłać w salach wiejskich filmy. W latach 1981-83 zlikwidowano lub zawieszono działalność większości domów kultury, klubów i świetlic zakładowych. Do 9-ciu zmniejszyła się liczba bibliotek zakładowych a większość instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego odeszła do innej pracy.

Najbardziej ucierpiało czytelnictwo. Nie jesteśmy dziś w stanie stwierdzić, o ile zmniejszono zakupy książek. A przecież wystarczy przyjść na jakikolwiek kiermasz zorganizowany w zakładzie, aby nacalnie przekonać się, jak wielkie jest na książkę zapotrzebowanie.

Zmniejszeniu uległa liczba zakładowych placówek kultury. Dzisiaj działają już tylko poprawnie placówki w nowosolskim Dozamecie, zarskiej „Bawelinie”, HSO Kunice i w „Lumelu”. W 15-tu innych zakładach różnych branż działają kluby lub świetlice. Różnią się one jakością bazy, standardem wyposażenia, wielkością nakładów finansowych oraz poziomem wykształcenia kadry w nich zatrudnionej. Tak więc formalnie rzecz biorąc placówki działają, lecz w minimalnym stopniu zaspakajają potrzeby załóg. Najczęściej działanie sprowadza się do organizacji imprez, wymuszonych kalendarzem rocznic i świąt.

Zmalała też rola zakładu pracy w organizowaniu życia kulturalnego, rekreacji i rozrywki swych pracowników. Jak wykazała przeprowadzona niedawno analiza — funkcja ta ogranicza się jedynie do organizowania tzw. „wypoczynku sobotnio-niedzielnego” w postaci wyjazdów na grzyby, ryby i wycieczek krajoznawczo-turystycznych, oraz rozprawdzania biletów na imprezy kulturalne o różnym poziomie ich wartości.

Taka sytuacja budzi niezadowolenie. Potwierdzają to robotnicy, bądź w bezpośrednich rozmowach, bądź poprzez swą niechęć do tych „ofert”. Określenie „wesoły czy pijany autobus” z wycieczką zakładową nie straciło nic ze swej aktualności. Nie jest to co prawda problem tylko województwa zielonogórskiego. Ogłoszone ostatnio przez Główny Urząd Statystyczny dane wykazują, że statystyczny obywatel w ciągu roku przeznacza przeciętnie 18 tysięcy złotych na alkohol. Sądzę, że komentarz nie trzeba.

Sytuacja, pomimo jednostkowych pozytywnych przykładów, jest niepokojąca. Wynika ona także z niewłaściwej interpretacji bądź nieznajomości przepisów prawnych, że działalność realizuje się głównie ze środków funduszu socjalnego. Nie zauważa się nadal, że działalność kulturalna może być finansowana również z funduszu załogi, nadwyżki budżetowej ze spółdzielczości oraz ze środków związków zawodowych.

Ratując niejako sytuację, w ostatnich latach administracja państwowa zainicjowała tworzenie tzw. placówek międzyorganizacyjnych o różnych wariantach uczestnictwa zakładów pracy i budżetu terenowego w kosztach ich utrzymania. W Zielonogórskim placówki takie utworzono w Gozdniczy, Lęknicy, Hłowej Zagańskiej, Małomicach, Nowej Soli, Wymiarkach, Zbąszyńku i Zielonej Górze.

Ciąg dalszy na str. 4

Miarą skuteczności polityki partii jest dostęp do kultury środowisk robotniczych i chłopskich, dzieci i młodzieży, wyrównywanie występujących w tej dziedzinie nieuzasadnionych różnic i dysproporcji zarówno klasowych, jak i terytorialnych.

(Z Projektu Programu PZPR)

Dyskusja była grzeczna, tylko momentami mniej ułupiana. Kujawa, pracownik Zakładu Przemysłu Drzewnego, czyli tartaku w Klenicy, nie owijał w bawełnę. Powiedział tak:

Otrzymałmy z fabryki w Bydgoszczy trak. Prototypowy. Nowoczesny. Ma on tylko jedną wadę — pracuje przez godzinę a resztę tygodnia stoi. Razem z traktem stoi sześć osób obsługi. Jedno skłenie pasa transmisyjnego kosztuje 25 tysięcy złotych. Rachunki za skłenie płaciliśmy już cztery razy. Ile razy jeszcze będziemy płacić? Tego nie wie nikt. Krew ludzi zalewa z powodu partanii. Chcę wam powiedzieć, że tartak, zwłaszcza nasz, nie jest oszczędny — doświadczałem, gdzie inżynierowie mogą sobie sprawdzić różne swoje pomysły. W naszym tartaku ludzie pracują na chleb.

Maria Nunckiewicz snuła wątek o stanie sanitarnym gminy. Powiedziała to: Zaczyna się Wielka Walka, pisana przez duże „W”. To i dobrze. Zaczynają jednak walkę od samych siebie, od własnego domu, zagrody. Nasze wioski otoczone są wianuszkami śmieci, pobocza lasów również. Widać to od lat. I od lat jest coraz gorzej. Wychodzi na to, że nie nie da się zmienić. Zmiana jest poza możliwościami. W końcu, jeśli dalej tak będzie, zamienimy nasze otoczenie, cały kraj, w jedno wielkie śmietnisko. Zasympa nas szmaty, papier, blacha, szkło, surowce, które mamy oszczędzać. Sejm ma podjąć uchwałę? Po takiej uchwał Polacy na pewno zabiorą się do porządków! Bez uchwały ani rusz! W Zielonej Górze ludzie piją wodę skażoną zarazkami z naszych zgnitych psów i kotów. Bo łatwiej je wrzucić do rowu. Trudniej zakopać. Jest wielka akcja „Posesja”. U nas również, tyle że do mnie nie przychodzi. Skąd oni tacy pewni, że u mnie wszystko jest w porządku? W gminie są trzy wysypiska śmieci zlokalizowane tak, że tylko niewielu z nich korzysta. Kto będzie wozził śmieci na odległość dziewięciu kilometrów? Nawiasem mówiąc, są one przepełnione. Uporządkowanie tych spraw widzimy w jednym — ostrych represjach. Nie potrafimy niczego zalać do końca, niczego przyzwolimy, tak aby rzecz miała ręce i nogi. A skoro to się nie udaje z braku umiejętności, braku cierpliwości, trudnimy się nad nazywaniem rzeczy. Pijanstwo to dziś patologia, zastrzyk zwie się teraz iniekcją. Guzik prawda! Mimo nowych słów dalej jest tak samo. Pozostaje dalej pijanstwo, draństwo, nieuczciwość. Trzeba więc powiedzieć wprost: Weźmy się porządnie do sprzątnięcia!

W Młynkowie, osadzie liczącej ponad dwadzieścia domów, gdzie dalej już nie ma żadnej drogi, Maria Nunckiewicz,

wąciwie pokazała palcem — co to jest? — Stawek. Widać nawet pomost wędkarski...

Stawek jest zasłany wodą z podziemnego źródła. Do niego zlewa się wszystkie nieczystości z okolicznych szamb. Obok, pięćdziesiąt metrów dalej jest hydrofor pompujący wodę którą piją mieszkańcy Młynkowa. Sprawdzam właśnie, przez córkę, która pracuje u profesora Aleksandrowicza w Krakowie, czy z naszych kranów nie płynie woda wzbogacona bakterijnym lajmem. Referatowy obraz codzienności przedstawiony na konferencji gminnej jest nieemocjonalny, bo referaty buduje się w oparciu o kilkadziesiąt słów na wyprawianym w ciągu wielu lat schemacie. Jest to zestawienie plusów i minusów.

nich miejsca na nowe wpisy meldunkowe. Jako sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, jako chrześcijanin, postanowiłem wyciągnąć do nich rękę, pomóc w stabilizacji. Namówiłem dyrektora pegeeru, aby ich zatrudnił. I teraz mam za swoje. Dzieci nieudane. On łamał przy pracy rękę, ona nogę. Pechowcy. Ja też mam pecha.

Zycie proponuje maski. A Maria Nunckiewicz masek nie nosi. Chce jednoznaczności. Uważa, że zajmując miejsce za stołem prezydenckim, nie należy się pchać do ławek w pobliżu ołtarza. Konfrontacje klasowych z życiem. I klasowy w tej konfrontacji wypadał błąd.

Organizacja partyjna w Młynkowie jest mała. Liczy sześć członków.

szli do niej ci co chcieli. To z Młynkowa wyprowadziła się pewna rodzina. Został po niej dom będący państwową własnością. Postanowiono zrobić dom ludowy. Gdy młodzież kończyła remont, do budynku wprowadził się dziki lokator i już w nim pozostał. Zebrania wiejskie odbywają się obecnie w sklepie mieszczącym się w przerobionym chlewie. Wilgoć, grzyb, mydło, powiódło, na dodatek wypożyczalnia książek. Przeciw uporowi dzikiego lokatora, człowieka o nienajlepszej opinii, nie stanęła żadna siła społeczna, żadna władza.

Samorząd mieszkańców wsi jest gospodarzem swojej miejscowości. Zapewnia mieszkańcom prawo uczestnicze-

ekscesy będą się powtarzać i mogą doprowadzić do tragicznych skutków. 17. 03. 86”.

„Notatka” liczy cztery strony maszynopisu i jest opisem niesłychanego, skandalicznego zdarzenia. Oto jej streszczenie: 10 marca bieżącego roku, wieczorem, między godziną 21 a 22, do domu w którym mieszka również Halina Kaliska, wtargnął Bernard Dziadek w towarzystwie również niezręcznych dwóch kolegów — Powiedział, że przyszedł zrobić porządek u rodziny Leckich. Powiedziałam, że od robienia porządków nie są oni. Wszyscy trzej przedstawili się. Bernard Dziadek, jako ormowiec, Mieczysław Mitulski, jako „posiadający uprawnienia” z Milicji, Wojciech Jedrzejczak, bez uprawnień, jako pomagający obywateli. Wyrzucili ludzi z łóżek. Zmusili dwu dorosłych mężczyzn do zgolenia wąsów. Starej kobiecie kazali prać intymna część garderoby. Oddalili się o północy. Obiecali, że przyjdą następnego dnia sprawdzić, jak wygląda porządek w domu państwa Leckich.

Jak z opisu widać, nie była to czarna noc. Pijacka trójka była konsekwentna. Dotrzymała umowy z typowo polskim, małym spóźnieniem. Zjawili się o godzinie 21.30. Nie zostali wypuszczeni do domu. Odeszli 12 marca o godzinie 8 rano Bernard Dziadek podjechał pod sklep samochodem. Poinformował Halinę Kaliską o swoich niesłychanych kontaktach z władzami na różnych szczeblach, włącznie z Sanepidem. Wystarczy jedno słówko, a sklepowa będzie człowiekiem skończonym. Nauczy sklepową właściwie pracować, zaś póki co, nie wolno jej, bez meldowania się u niego, Bernarda Dziadka, wyjeżdżać z Młynkowa. Świadcami tego zaistniały były dwie osoby.

Mimo zakazu wyjazdu Kaliska pojechała do GS Bojadła, poinformowała zwierzchników o zdarzeniu, złożyła odpowiedni meldunek na posterunku Urzędu Spraw Wewnętrznych. U rodziny Leckich, czyli tam gdzie mieszka p. Halina Kaliska, Dziadek i pozostali dwaj pijani terroryści, uderzyli matkę dwojga dzieci Grażynę Lecką w twarz, kazali wszystkim domownikom kapać się, pedzili Jana Leckiego przed swoim samochodem do swojego miejsca zamieszkania...

Dla Prokuratury Rejonowej Sołtyś wydał o Halinie Kaliskiej taką opinię: Jest przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich, aktywnym członkiem PZPR, radną Gminnej Rady Narodowej, wiele robi dla naszych dzieci.

Ta historia, żywcem wyjęta z klepskiego gangsterskiego filmu, akcja którego dzieje się może w Teksasie, rzeczywiście odbyła się u nas, w województwie zielonogórskim, w roku pańskim 1986. Została wielokrotnie sprawdzona. Jej autentyczność nie może być zakwestionowana. Spowodowała, że na mieszkańców Młynkowa spadł na czas pewien błąd strach, z drugiej zaś strony, rzuciła niespodziewanie jaskrawe światło, na coś, co nazwać można skutecznością działania prawa, władzy, na ogólną kondycję władzy, tym razem szczebla gminnego. Nie ulega wątpliwości, że zdarzenie spowodowane przez trzech pijaków, którym nie chciało sprzedać czekolady, przekracza granicę chuligaństwa. Można jedynie szukać odpowiednio surowego paragrafu Prawa Karnego, zaś samą sprawę powinni zostać natychmiast aresztowani. Tymczasem nie takiego nie nastąpiło. Nastąpiły jedynie zmiany personalne na posterunku.

O historii w mieszkaniu państwa Leckich w Młynkowie wiedział Komitet Gminny PZPR, Naczelnik, Zarząd Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Z wiedzy tej, jak na razie, niewiele wynika. Zrozumiałe jest, że władza lokalna, blisko jest tych, z upoważnienia których, spełnia swoje funkcje. Jest ciałem na cenzurowanym. Chcąc realizować swoje zadania jest środowiskowo uwikłana, na to lub owo „rozsadnie” zamyka oczy, w technice osiągnięcia celów sięga do kompromisów, choćby z zasady „coś za coś”. Przyjmując ten stan rzeczy do wiadomości, trzeba jednak zadać pytanie — jaka jest granica zamykania oczu. Jaka jest granica kompromisu? Teoretycznie owa granica jawi się w miejscu, gdzie decyduje winę się z odejściem od podstawowego pryncypium. Jakim jednak jest cel zasadniczy — budowanie socjalizmu w realiach gminy Bojadła. W tym miejscu dylemat — być miłym i tolerancyjnym, czy też zasadniczym i skutecznym, ma odpowiedź jednoznaczna.

Gmina Bojadła, z jej plusami i minusami, w naszej rzeczywistości społecznej, jest normalna. Dąży do postępu cywilizacyjnego i technicznego krokiem równym. I w jej organizacjach partyjnych dzieje się nie inaczej. Jest jednak w tej gminie Maria Nunckiewicz, sekretarz małej Podstawowej Organizacji Partyjnej w Młynkowie, która ocenia rytm marszu bardziej surowo, jakby bardziej idealistycznie, z niechęcią do identyfikacji z marksizmem. Odebranie, lub zaprzeczenie, wywołuje jej bunt. — Budownia Nowa Huta, Odeszła z Zielonej Góry szukając spokoju. Pogroziła się w działalność. Zmierzona szukała spokojnego miejsca w Młynkowie-dziurze, w której nawet diabeł nie mówi „dobranoc”. Okazało się, że spokojnych miejsc u nas nie ma. Kiedy wchodzi na tribuna, chociaż Konferencja Gminnej PZPR, słuchającym podnosi się ciśnienie krwi.

CIŚNIENIE KRWI

Ryszard Rowiński

Pozycje plusów rozpoczyna postęp osiągnięty w produkcji rolnej.

Gmina jest towarowa, produkuje znacznie więcej ziarna, okopowych, mięsa i mleka aniżeli zjadają jej mieszkańcy. W gminie nie ma ziemi bez gospodarza. Kończy się budowa pawilonu handlowego, finalizuje się remont kapitalny gminnego ośrodka kultury.

Lista minusów jest dłuższa. Rolnikom brak wapna nawozowego, środków ochrony roślin, oleju napędowego, nawozów, zwłaszcza azotowych. Sytuacja szkół nadal jest niedobra. Nauczyciele mają kłopoty mieszkaniowe. Kino, pierwsze wiejskie kino w Polsce, uroczyste otwarte w latach pięćdziesiątych, dziś wymaga zasadniczego remontu i przebudowy. Niedobrze jest w gminie z modernizacją dróg i melioracją.

Taki jest obraz gminy zatrzymany w referatowym, konferencyjnym kadrze. — Litość brała, gdy patrzyło się na dowody osobiste tej rodziny. Brak w

Jest ceniona w Komitecie Gminnym. Ta Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR zadała sobie temat zebrania — jak sprawuje kierowniczą rolę w Młynkowie. Odpowiedź była pozytywna.

— Jeśli do nas zwracają się ludzie z najprzykreszszymi sprawami, wynika z tego, że jest nienajgorzej, że jest zaufanie. Ale... M. został wychowany bez ojca. Wyrastał w bardzo trudnych warunkach. W jednej kłitce krzyczącej o remont. Ukończył szkołę zawodową. Za namową sekretarza POP, Marii Nunckiewicz kontynuuje naukę w technikum. — Ale o partii nie chce słyszeć. Za dużo widzi wokół siebie niesprawiedliwości w Młynkowie i okolicy.

Jak wygląda niesprawiedliwość w Młynkowie? Wśród stu dorosłych, blisko siebie ludzi? Niesprawiedliwość różna ma miana. Oto przy wyborze rady sołectkiej nie konsultowano jej składu osobowego z organizacją partyjną. We-

nia w decyzjach dotyczących spraw socjalno-bytowych, kulturalnych, opieki zdrowotnej, sportu, wypoczynku. Ma również inne, rozległe uprawnienia, między innymi sprawuje społeczną kontrolę nad działalnością placówek związanych z warunkami życia na wsi. Kontroluje też sołtysa. Samorząd wiejski dysponuje również środkami finansowymi pochodzącymi z części podatków płaconych przez rolników. Samorząd może wiele, jeśli chce. Głową wsi jest sołtys, jeśli chce... A w praktyce może ograniczyć swoją działalność do zbierania podatków, wydawania kartek, w razie konieczności służyć komunikacją ze światem przez służbowy telefon.

Przyszedł naczelnik gminy i poprosił sołtysa o podpisanie czeku na potrzeby szkolne. Suma była niewielka, dziesięć tysięcy zł. O rozdysponowaniu funduszu wiejskiego decyduje zebranie. Powiedziano: trudno zbierać wiesz w sprawie tak drobnej kwoty. Zresztą i tak nikt nie przejdzie. Nie mam nic przeciw szkole. Rozumiem jej potrzeby. Sama przeprowadziłam cegielnię na trzy tysiące złotych wśród członków Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w Zielonej Górze. Dziesięć tysięcy dla szkoły to tyle co nic. Jednak dziesięć tysięcy dane bez pytania o zdanie dysponentów, to dużo. Bo potrzebujących jest dużo. Jednemu dziesięć tysięcy, drugiemu trzydzieści, a cała suma 370 tysięcy złotych rozleje się bez widocznego efektu. Postanowiliśmy zwołać otwarte zebranie partyjne, na które przyszła cała dorosła część mieszkańców Młynkowa. Bodajże po raz pierwszy Przyjechał naczelnik, sekretarz Komitetu Gminnego, prezes Gminnej Spółdzielni. Mieszkańcy Młynkowa dowiedzieli się, że są pieniądze a o sposobie ich wydatkowania decyduje wola zebrania mieszkańców. Można je wydać na cel ogólny, komasować na wiek-sze przedsięwzięcie, na przykład na budowę studni awaryjnej lub sauny. — Na pomysły budowy sauny ludzie zaczęli się śmiać. Zebranie postanowiło zamrozić posiadane pieniądze, czekać aż powstanie większa kwota.

Podjęliście najlepszą z możliwych uchwał, powiedział ktoś z przyjezdnych.

Możliwe, zgodziła się Nunckiewicz, jednak właśnie tak wyraża się demokracja. Lekceważenie woli większości, tworzenie przepisów po to aby omijać, kładzie klimat społeczny, równie polityczny. Potem trzeba godzinami namawiać do uczestnictwa w wyborach, czasem bezskutecznie.

Inne wioski w gminie Bojadła, dysponujące często znacznie większymi sumami z odpisów podatkowych, nie zorganizowały zebrania w sprawie sposobu ich rozdysponowania...

Do sklepu, gdzie mydło i powiódło, biblioteka i sala zebrania, przywieziono rarytas — czekoladę.

Daj czekoladę, zażył sobie trzech klientów.

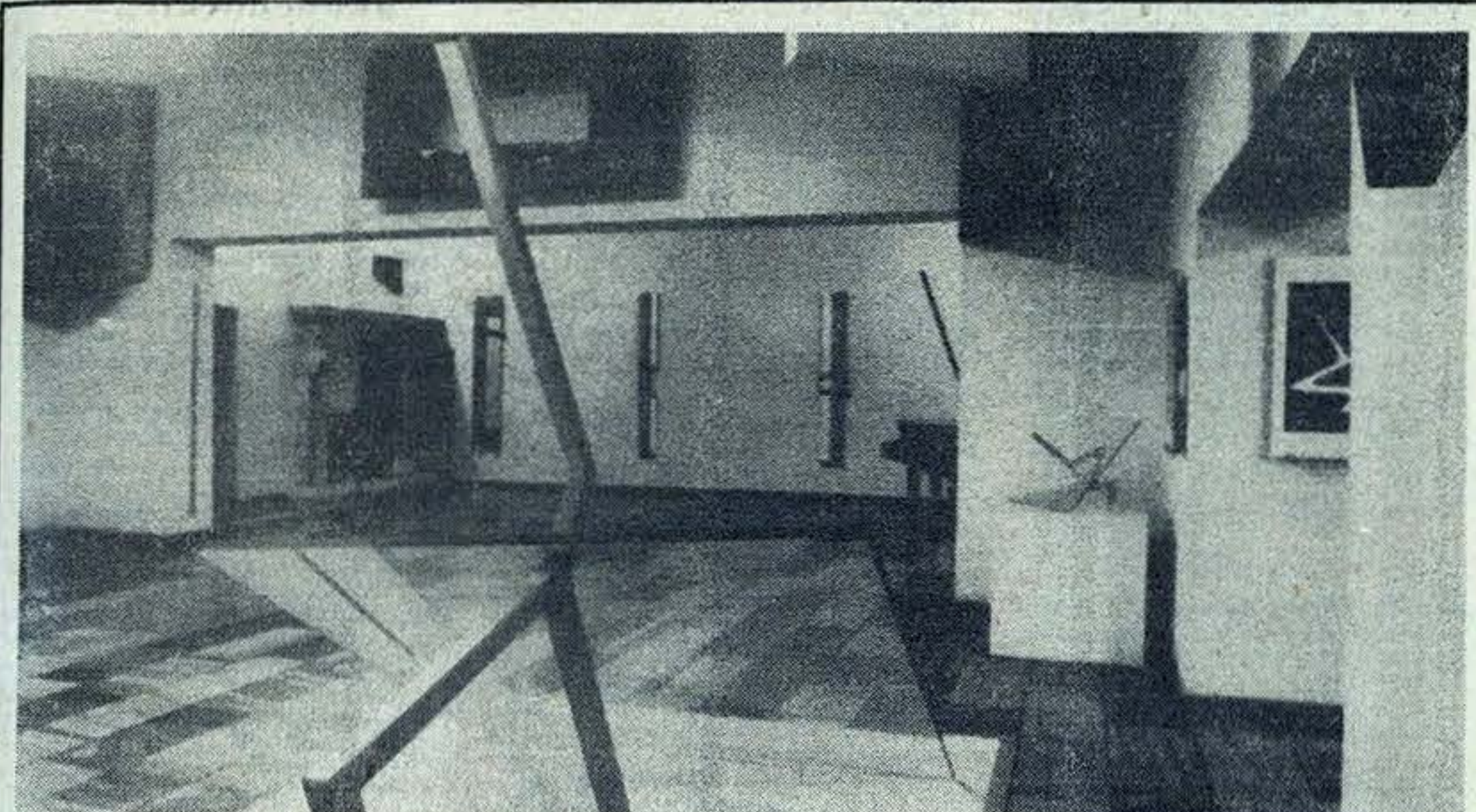
Proszę o kartki.

Nie wyglupiaj się. Dawaj czekoladę.

Bez kartek nie mogę.

Co? Nie dasz? Dziewczyno, nie wiesz co robisz. Jeśli nie sprzedasz nam czekolady, nie będziesz już miała spokojnego życia. My ci pokażemy gdzie raki zimują. Wejdźmy ci tak za skórę, że wyniesiesz się z Młynkowa tam dokąd oczy poniosą. — Panowie, trzeba zrobić w Młynkowie porządek!

Sklepowa, Halina Kaliska, która wiele nauczyła się od Marii Nunckiewicz (od organizacji apteczki, po wypełnienie deklaracji do PZPR) napisała list do prokuratury — „Przysyłam w załączeniu pismo o bezprawne wtargnięcie do mieszkania i wywołanie niepokoju. Z prośbą o rozpatrzenie i przyjęcie z pomocą. Obawiamy się, że tego rodzaju



JAN BERDYSZAK

W galerii autorskiej Muzeum Ziemi Lubuskiej Jan Berdyszak prezentuje rzeźby tzw. „Przeźroczyście”. Pierwsze dzieła muzeum kupiło na początku lat siedemdziesiątych, kiedy kształtowała się osobowość twórcy artysty i jego własna teoria. W galerii zgromadzono prace późniejsze, wykonane ze szkła, które dla J. Berdyszaka jest tworzywem o szczególnych właściwościach. Szkło powiedział artysta, jest to jedyny materiał, który udaje, że go nie ma. W „Przeźroczyściach”, autor wprowadził czas jako nowy wymiar. Jego zdaniem nie istnieje zdarzenia poza czasem i przestrzenią; przestrzeń jest nośnikiem idei i samą ideą dzieła. Twórczość swą Jan Berdyszak wyprowadził ze sztuki Wschodu, w której język znaków plastycznych symbolizuje stosunek pomiędzy wszechświatem a człowiekiem. Stąd artysta zajął się badaniem relacji za-

chodzących pomiędzy naturalnymi elementami jego dzieł a przestrzenią.

Adam Radajewski: Dobroć i siła efektów plastycznych-przestrzennych czyni z twórczości Berdyszaka zjawisko niezwykle i wyjątkowe na ile przysposobionemu obrazu naszej sztuki zarówno aktualnej jak dawniejszej. Andrzej Kostolowski: Można by, zastanawiając się nad drogą Berdyszaka, zmierzającą ku minimalizmowi, strukturalizmowi i neokonstrukturyzmowi odnaleźć podobieństwa w równocześnie i późniejszych dokonaniach niektórych artystów japońskich i amerykańskich, aczkolwiek te porównania nie mogłyby scharakteryzować w pełni związków polskiego artysty z nurtami sztuki międzynarodowej. Zaś plastyk o sobie: Dla mnie obojętne jest, jakim językiem artystycznym treść została wypowiedziana. Odbieram sztukę nie ze względu na piękno, lecz na treść.

Jan Berdyszak urodził się w Zaworach na ziemi wielkopolskiej, studiował w pracowni rzeźb prof. Bazylego Wojtowicza poznańskiej wyższej szkoły plastycznej. Obecnie jest wykładowcą i wychowawcą młodzieży w tej uczelni. W ostatnich latach często gościł w Zielonej Górze, przed dwoma laty z grupą studentów w salonie BWA zorganizował lekcję działań plastycznych, na którą zaprosił mieszkańców stolicy środowiska Nadodrza. Jest również „doradcą” organizatorów Biennale Sztuki Nowej Uprawy malarstwo, rzeźbę, grafikę i scenografię. Prace artysty znajdują się w zbiorach polskich i zagranicznych, m.in. w Alvar Aalto Museum w Jyväskylä, Museum of Fine Arts w Bostonie, Instytucie Sztuki Nowoczesnej w Kamakura.

A.S. Fot. B. LACHOWICZ

— Jednym słowem — objaśnia Hesia (śmiesznie orzmi jej „I” przy męzowskim ciemnym zaokrąglonym „I”) — to jest hero naszej rodziny. Tu rzeka Wisła, obok handlarski okrut i wisi. Na zryw się ona „Weichsel-Kirche”, bo ma trzy owocki na jednym gałązku, prawda? To jest jedna jedyna wisnia, co nosi nasze nazwisko, że ma trzy owocki... Normanna wisnia ma dwa owocki. I napis: „Wappen der Geschlechter Bachnick und Weichsel”, czyli herb rodziny Bachnicków i Weichselów.

Trudno dziś z całą pewnością powie dzieć, kim byli przodkowie Herby. Przy puszczenie pochodni z Pomorza za cennego, pierwotnie całkowicie słowiańskiego, później zaś — począwszy od XIII, XIV wieku — silnie germanizowanego. I cnot Hesia wyczuwała się w kulturze niemieckiej, a ręce w chwila laci trwały zawsze skłaniała do ewangelickiego boga, nie jest wykluczone, że jej rod miał słowiańskich protoplasów, z biegiem czasu zgermanizowanych, którzy przeniesli się już jako zdecydowani Niemcy do Olszaw Gorzowskich (dzisiejszych Cwałowic) w ramach kołnizacji tryderykańskiej Błot Warciańskich. Zamieszkała na terenach zasiedlanych w dużej mierze osadnikami z Niderlandów, specjalistami od osuszania błot i znakomitymi rolnikami. Hesia dziś jeszcze wspomina swoich sąsiadów Holendrów, świętych gospodarzy. Jej rodzice też nie byli gorsi, skoro gospodarowali na 50-ciu hektarach ziemi.

Wróćmy jednak do herbu, którego rodzowa dla samej gospożyny pozostaje tajemnicą, a nigdy nie odczuwała potrzeby sięgnięcia do nierożnionych kłosek. Prawie powiedziałaby, że wisi si w słońcu od niedawna. Przez długie lata był skrytykowany przez obojętną małżonkę, żeby biedy sobie nie nabywać. Okres nieślubnej egzystencji w stodole między ziarnami owsa została swoje ślady na nierożnionym obliczu, z lekka przyozdobionym i siatgowanym.

— Ot, i szlachcianka! — przekomarzy się z żoną pan Józef — u nas za Bugiem też szlachta i szlachcianki były. A wiesz ty, po czym szlachcianka poznać było? Jak do miasta pojednała, brudne pienty miała! Ha, ha...

Hesine „brudne pienty” tylko śmigała! Trzeba wycofać pięć krow, nakarmić kury, kaczki, indyki, perliczki, a także pięć macior, na które wola: „kucucie... kucucie... kucucie...” Az wieki wilczur Fido w zaciekawieniu wysuwa swój płowy łeb z wyki, gdzie przynęcił go gospodarz stosując tymczasowy areszt w trosce o moje bezpieczeństwo. Siedzi więc Fido jak te boćki i obserwuje przedwieczny kurzy rejwan, strzeże młoczenia krow, w in teresie których przed wiekiem zasadzo no rzadkiem kasztany (krowy lepsze młoko dają), patrzy na konie pieczołowicie futrowane przez Józefa, zerknie czasami na wygodkę. Wygodka stylowa z seruszkami, ustawiona w miejscu akuratywnym jak na szlacheckie obęscie przystało, budzi największy zachwyt wnucząt, przyjeżdżających na wakacje.

— Kto budował obejście? — pytam retorycznie, szwendając się między perliczkami.

— To była zawsze rodzina i już pradziadek jak siedział, tak i musiał postawić to starożytnie obejście — odpowiada Hesia i drobnymi krokami biegnie do izby paradnej, by wyciągnąć pięć oprawnych w skórę albumów. Bucha na mnie kilka wieków pruskiej stabilności, ordnungu, białych koronkowych kołnierzyków, damskich kołnierzy i męskich wąsów noszących ślady bin dy... śluby... komunie... urodziny... az Józef przerywa oglądanie:

— Ej, Heska! Pokaż ty jeszcze swoje lornia! Taz ja mogę dzisiaj nimi twoi kucusi polonezować...

Znać panu Józefowi nie imponuje ni hero ni lornia. Ma on swoje zabuzan-skie pamiątki, które nijak nie dadzą się zdystansować. Zanim dojdziemy do romantycznej (choć toczącej się w zgola nieromantycznych warunkach) historii obojga, płyną długie wspomnienia o kraju lat dziecinnych: „a wiesz ty kochanienka, jak u nas siołki śpiewali? Godzina trzecia, czwarta — to pięknie śpiewało! Był las... Las był liściasty, więc tych siołków była masa! Wejść było do lasu... zapach czeremchi wprost nie do wytrzymania! Za sto metry poznasz, że czeremcha, taki zapach był... Tu, na Ziemiach Zachodnich, czeremchi ja nie spotykałem, na serio mówię. Czeremchi, wilczego łyka, junczych rzeczy... I znów u nas zabły rechotał inaczej! To był piękny koncert. Zaczyna jedna; trach... trach... trach, a za nią inne: rech... rech... rech. Z dziesięć minut rechoczo, potem spokój. I znów zaczyna sioł... i tak cała noc, do godziny jakiejś piontej rano. A tutaj wyjdzieś ta co? Musi być dobrze ciepło, żeby ta żaba skrzęcała. Nie rechocze ona, a skrzęczy tylko. Mówię ja pani, że mnie tu wszystko było obce, nawet ta głupia żaba...

Gospożyna nie słucha męzowskich wynurzeń, zajęta szykowaniem stołu. „Czym chata bogata, tym rada” nauczyła się Hesia od tych „za Buga”. Po

woli przejmowała obyczaje, uczyła się lepić kolduny, piec bliny, stoł obficie zastawiać. W niemieckiej obyczajowości, którą wyniosła z domu rodzinnego, ważna była przede wszystkim estetyka stołu. Skromnie ale ładnie. Mężowi „la dnie” nie wystarczało i często przyganiał: „ty mnie nie wymadzaj, lepiej by dała dobrze zjeść!”. Więc zamiast cienkiej herbatki i ciasteczek, wjeżdża na stół parujący bigos, różowutki kumpiak, wianek kielbasy, krwawa kiszka, sałceson... u! Kiedy wino rozlane w wytworne zielone kryształki, stanowiące dziwny ale miły dla oka dysonans z ciężką tłustością stołu, kiedy „spróbować” wszystkich domowej roboty smaczków, można przystąpić do opowieści właściwej. Opowieści awanturniczo-milosnej, której początek przypada na wiosnę czterdziestego piątego roku.

— Kiedy oni tutaj nadeszli — wspomina Hesia, matka moja powiedziała: no, Heska, teraz trzeba się schować, bo bieda będzie! Więc ja, moja kuzynka, i koleżanka byliśmy chowane u wujka w stodole, wysoko, pod sa-

jedną kure, a i ta po tygodniu zdechła. Tak ciężko człowiek zaczynał...

Początki wspólnego życia były niełatwe, nie tylko jednak z powodów materialnych. Józef był na cenzurowanym wśród osiedleńców, którzy cały czas podejrzewali, że „Niemcy skarby mu zostawili”. Hesia nadal się ukrywała, tym razem w pokoiku tymczasowego komisariatu w myśli zasady, że „najciemniej pod latarnią”. Narzeczony bowiem służył ochotniczo w milicji, no sił broń i zapowiedział swoim kumpłom, że kulkę w łeb wpakuje temu, który go zdradzi... Nie mogło być mowy o normalnym życiu, przecież nawet ślubu nie mieli. Pan Józef zwrócił się do pierwszego gorzowskiego starosty Kroenke z pismem o zezwolenie na ślub. Z Urzędu Stanu Cywilnego w Gorzowie przyszła odpowiedź: „brak podstaw prawnych”, na co pętnet zarębował: „brak podstaw odmownych” i

Byli 101-szą parą. Przed nimi przysięgali dożgonną miłość i wierność Po lak wraz z Rosjanką.

— Ach, to była coś piękne! — zachwycę się Hesia. Cały urząd był odmalowany, dywan był i cudnie horten sje: pięć białych z jednej strony biurka i pięć czerwonych — z drugiej.

— Naturalnie moja żona tylko horten sje widziała! — śmieje się Józef. Ale ja lepiej rzecz opowiem. Każdy urząd nik Stanu Cywilnego miał prawo, jeśli młodzi postawili, wypić w urzędzie wódki. Ja naturalnie, po tylu tarapatach, nie wziołem ćwiartki, ale dwa kanistry wódki! Kielbasy wtenczas w dowolu można było kupić, no więc jak wszyscy zapili, tak i paczki unrowskie pogubili! Ha, ha!

Państwo młodzi wrócili, pobogosławieni ręką urzędnika, do Chwałowic, przyjechali rodzice Józefa i rozpoczęło się normalne życie. Choć prawdę po-

Stalo się inaczej. Powoli Hesia zaczęła asymilować się w wiejskim, zupełnie nowym dla siebie środowisku. Prze ważnie przybyli tu młodzi ludzie, może dlatego wyrozumiali? — zastanawia się teraz. Poza tym rodzina Józefa przyjęła Hesię bardzo serdecznie, choć wycierpiała sporo w czasie wojny.

Pytam Hesię, czy nigdy nie miała ochoty wyjechać do Niemiec? Odpowiada, że nie. Roboty było zawsze dużo; urodził się syn, potem córka, trzeba było opiekować się zniezdolnioną teściową, harówka w polu; nie było czasu myśleć i tęsknić. Matka pisała listy i to łagodziło rozstanie. Po raz pierwszy pojechała do matki w 56-ym roku, a paszport dostała „przez głupota po prostu”, za sprawą męża.

— W 55-ym roku — wspomina Józef — to było wielka sensacja, że żona dostała paszport na wyjazd do NRD, bo wtenczas nikt nie dostawał. Przeczytał ja w „Rolniku Polskim”, że jakas Frida przyjechała do Wrocławia i wielka manifestacja babska zrobiła! Ja mówię: do jasnej cholery! zobacz, taka Frida przyjeżdża, a ty 10 lat matki nie widziała! Siadam i piszę do redakcji: tak i tak, co za porzondki, co za włacza, co za demokracja! Żona na to: „oj, Boże i cóż ty robisz? Zamkno ciebie”. Zamkno to zamkno, pal sześć, piszę. W ciągu tygodnia czasu przychodzą mnie ankiety. Wypełniłem wszystko, poszedłem do notariusza, podpisałem, że w razie zostania się żony nie mam do gadania co do dzieci. Żona pojechała. No, naturalnie człowiek był młodszy i gdyby Hesia nie wróciła, może by i druga się znalazła! Ale nie! Przyjechała! Nawet miesionca nie wytrzymała, bo powiada, że jej tam powietrze nie odpowiadało i otoczenie nie pasowało...

Do dziś pozostało w Hesi uczucie rozczarowania odwiedzinami. Tutaj, pomi mo że ciężko, życie wydaje się jej wesejsze, prostsze. Potem, po roku 56-ym, wielokrotnie miała okazję wyjechać w odwiedzin. Był już i paszport do ciotki w RFN-ie, i opłacone wszystko... Ale cóż, żniwa, czasu nie starczyło. I tak już zostało.

Fido spuścił wyżkę i okazuje się, że choć to wielkie i groźnie wyglądające psisko, jest zupełnie łagodne. Grzecznie waruje u nóg gospodarza: — Sie dzi i pilnuje mnie moj Fidulko! — poklepuje psa Józef. A zostaw jego Hesiulka, niechaj pobendzie w mieszkaniu, moj mały Fidulko!

— Ja tak myślę — wdycha Hesia — że wszystko to gupstwo. Tam jest dobrze, gdzie człowiek jest szczęśliwy!

— Ot, nie tak ty powiedziała — przyrywa Józef — swoje szczęście trzeba samemu umieć zrobić...

W filmach historii miłosne najczęściej kończą się happy endem, a w ka drze, po którym z wolna płyną napisy, wianieje para kochanków złączonych uściskiem. W moim kadrze happy end wcale nie jest tak rozrzucający. Para kochanków ma już swoje lata i czas spędza zgola nieromantycznie. Hesia i Józef zwyczajnie harują od świtu do zmroku, zeoy z kilkunastu hektarów ziemi wycisnąć, ile się da. „Wycisnęli” już duzego fiata, co prawda śmiesz nego na tle starej zabudowy (ale to już inna para kaloszy), dorobili się maszyn rolniczych i dostatnio wyposażyli swoje miastowe dzieci.

Nietrudno wyobrazić sobie dalszy los bohaterów tej historii. Kiedy sił już nie starczy, zadowolony gospodarz na skaro państwa i z cieniutką rentą prze niosą się do małego pokoiku w którymś z M. miastowych kształconych dzieci... Całe obejście łącznie z meblami pamiętającymi czasy kolonizacji Błot Warciańskich zakupiło na pniu Gorzowskie Muzeum, które stworzy tu tak kiedyś placówkę etnograficzną — kiedyś, kiedy drobnitka Hesia i podstawny Józef będą dożywać swojego czasu w wielkomijskim wieżowcu...

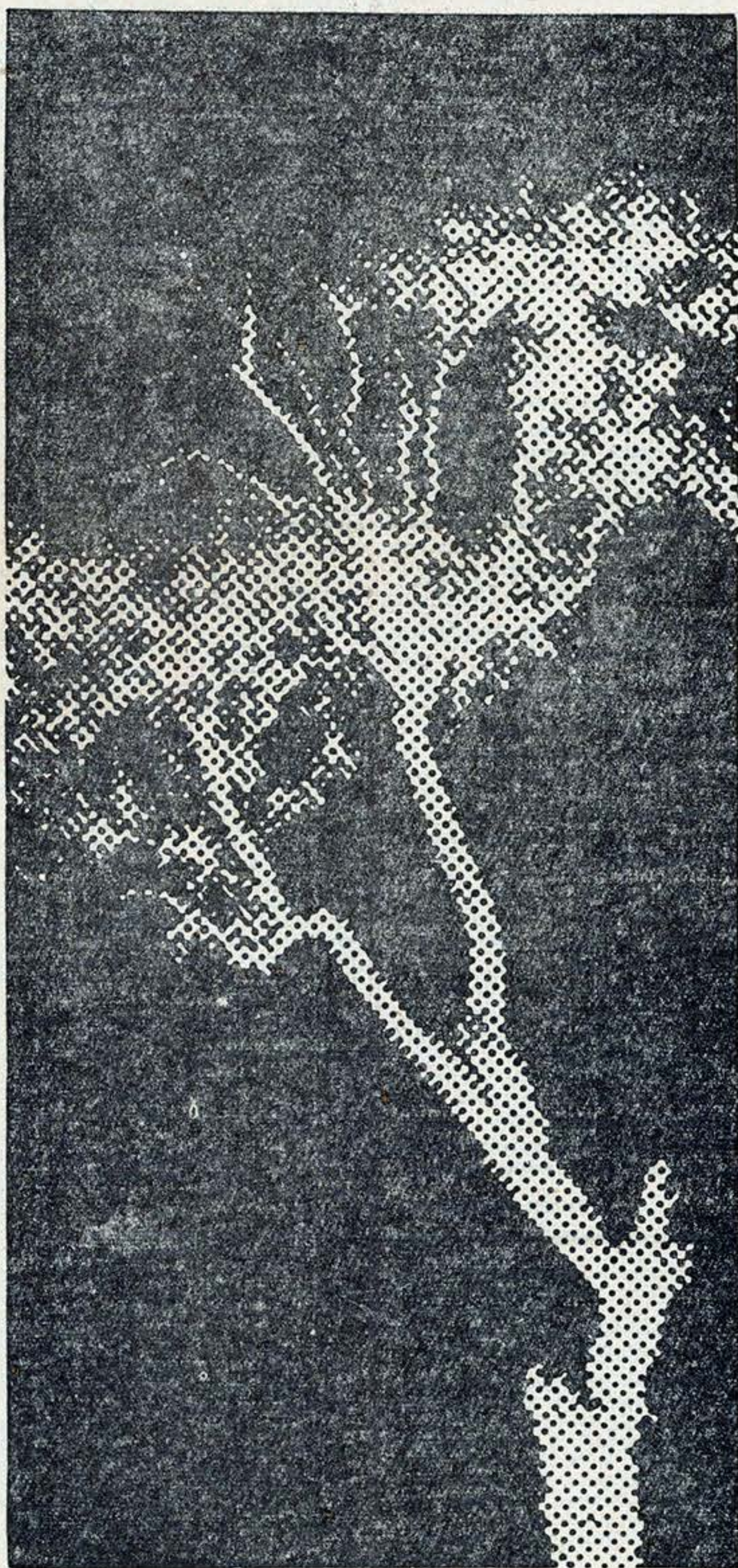
Na razie powoli zapada majowy zmierzch. Przez otwarte okna niesie się doki zapach brzo. Uciszyło się na podwórzu; kucucie tylko pochrząkują i słychać, jak Kasztanka ociera się o żłób. Boćki pewnie śpią...

IRENA LINKIEWICZ

WIDOK Z GNIAZDA

wystosował do Urzędu następną petycję z prośbą o przyznanie Hesi obywatelstwa polskiego, by uniknąć przymusu wysiedlenia.

wiedziawszy nie było ono tak zupełnie „normalne” dla młodej żony. Zawsze myślała o tym, kiedy nadejdzie czas, by ona, Niemka, mogła „myśleć bez



Graf. LESZEK HERMANOWICZ

Sprawa ciągnęła się około trzech lat. Józef widząc, że zaczynają wokół niego za mocno „chodzić”, uciekł z Hesią do Elbląga. W pociągu okutana chustą mi narzeczona udawała głuchoniemą, żeby nie wydało się, że jest Niemką. Dojechawszy do Elbląga, po wielu perypetiach, zabiegach i wybiegach, stanęli wreszcie na ślubnym kobiercu.

— Ale co to był za ślub! — wspomina ją — zupełnie jak w piosence!

strachy i rozmawiać bez myślenia”. Przecież w całej okolicy z Niemców została ona jedna, ze znajomością kilku polskich słów. Teraz, kiedy rozsądnie o tym pomyśli, wyda się sobie nie rozważną i lekkomyślną. Przecież Józef mógłby ją „wykorzystać, plunąć i co była wtedy zrobić?!”

Nie boisz się AIDS?

— Wszystko zależy od punktu widzenia, ale są rzeczy straszniejsze od AIDS — komentarem do tych słów ma być sceniczny gest, który wyraża wszystko i nic. Zresztą każdy gest jest przez sadny, szeroki, podkreślony, pieszczotliwym tonem niemal kobiecego głosu. I na tym właściwie kończą się zewnętrzne atrybuty jego homoseksualizmu. Ubranie kontrastuje z wyobrażeniami o szczytnej dbałości o wygląd zewnętrzny tej grupy ludzi: niegdyś biała kośza z sztucznego tworzywa i krzyżacy czerwienią pulawek. Pytam i o to. Odpowiada, że to jest tylko kamuflaż i podkreśla te kwestie gestem ręki, jakiego nie powstydziliby się odwoławcy szekspirowskiej roli. Wszystko, co może spotkać człowieka w życiu dobrego, ma już właściwie za sobą: dobrobyt, za granicę, pracę, życie rodzinne, pracę dla satysfakcji. Tak, był żonaty przez dziesięć lat, ma dwójkę dzieci. Żona wiedziała o jego skłonnościach, ale przez dziesięć lat udawało się utrzymać ten wygodny dla obu stron stan rzeczy. Dzięki niemu żona opływała w dostatki, bywała w elicie towarzyskiej tamtego miasta — a on miał parawan pozorów, który pozwalał mu mieć lepsze samopoczucie. Cały ten karany domek runął pewnego poranka. Żona odeszła, porzuciła się korzystne kontakty, nie mógł pracować.

Czy jestem fatalistą? Bo o tym wszystkim zdecydowało coś, na co człowiek nie ma żadnego wpływu. Pewnego dnia obudził się z martwą ręką, tak, dosłownie martwą; ręka nie słuchała poleceń mózgu i była nieczuła na ból. Dla niego wyprowadzającego tą ręką szerokie gesty scenicznego mogło to oznaczać koniec wszystkiego. Pół roku trwała samotna choroba. W tym czasie stracił parawan, miejsce w zespole i kochankę. Rozpoczęła się droga w dół.

Może to kara za zbyt lekkie traktowanie życia? Był inny tylko pod względem zainteresowań seksualnych, lecz także w traktowaniu łaski fortuny. Jeszcze dziś wspomina z rozbawieniem swój wyjazd do Holandii, choć wówczas nie było mu do śmiechu. O wyjeździe dowiedział się tuż przed wyznaczonym terminem. Wszystko odbywało się „na styk”. W ostatniej chwili otrzymał wizę, zapakował do torby kilka brudnych koszul, bieliznę i dwa kartony proszku „Ixi”. Kiedy przyjechał na Okęcie i wydawało się, że bez przeszkód zajmie miejsce w samolocie, wzbudził szczególne zainteresowanie celników, a właściwie nie on, tylko dwa kartony proszku do prania. Celnicy z flegmą i szwajcarską precyzją przysypywali ziarnka proszku w poszukiwaniu kontrabandy. Nie wytrzymał nerwowo: — „Panie mój samolocie!” — celnicy przestali przysypywać proszek i krytycznie spojrzeli na intruza: — „Niech pan pisze zażalenie”. Mimo to zdażył.

W Belgii, gospodarze u których mieszkał traktowali go ze współczuciem, jak ko biedaka z Polski — pokazał im co znaczy ułaska fantazja: zaprosił rodzinę z dziećmi na kolację do lokalu, ugostił ich do dna kieszonki. Belgowie z wdzięczności zrobili mu paczkę ze starych ciuchów. Paczkę przyjął, gdyż nie chciał obrażać poczylnych ludzi, ale do Polski jej nie zabrał: wyla dołowa na śmietniku. Za to w Szwecji przeżył piekielnie dramatyczną przygodę. W słotny dzień, na ulicy Sztokholmu peki mu but, po prostu rozpadł się na dwie części. Nie było wyboru, postanowił w najbliższym sklepie kupić coś na nogi, w czym mógłby wrócić do Polski. Pan artysta z Polski siedział w fotelu, a uroczyste ekspedientki znośliły obuwie do przymiarki. Komedia trwała z kilkanaście minut, aż wreszcie odważył się wskazać najtańszą parę kaloszy stojących na półce. Ekspedientki osiągnęły pełnię szczęścia. Kalosze zrobiły furorę w kraju, posładywały te właściwości, że wieczorem świeciły światłem odbłasko-

wym i wtedy, w tamtym dużym miescie nikt jeszcze takich nie miał.

Z butami, a właściwie z butem przeżył jeszcze inną przygodę, która miała znaczenie gorsze niż ta. Ta miała miejsce w kraju, w okresie wojny w Wietnamie. W klubie twórców zbierał do buta pieniądze na dzieci wietnamskie. Gdy kasa była pełna, wypłcił za dzieci wietnamskie. Toast był kosztowny: pozabawienie na trzy lata praw do wyjazdu za granicę.

Taki był: zwariowany, szalony, inny.

Wyleczenie ręki nie odwróciło karty, do wszystkich kłus dołączyły dotkliwie bóle kręgosłupa, dla tancerza oznacza to definitywny koniec kariery.

Poznał wtedy najciemniejszą stronę tamtego miasta: spelunki, meliny, bufety dworcowe; kontakty z panami do mu w delegacji, z ludźmi żyjącymi w głębszej konspiracji, niż wojownicy pod ziemnego frontu. Złoty kolejarzem, mieścił w kotłowni w okresie przelotnego romanu z palacem, kucharką u profesora uniwersytetu. To był zupełnie nowy świat, może jeszcze nie piekło, ale czyste na pewno. Tam kłębiły się najpodlejsze ludzkie uczucia: zazdrość, strach, nienawiść, agresja, alkoholizm do zapomnienia. W czystcu przebywał cztery lata. Jedyną z możliwych dróg ucieczki — ga scenę — była odciecia raz na zawsze. Tylko tam spotykał się z względnie tolerancją i zrozumieniem. Poza sceną raczej z nienawiścią i agresją, co dziwniejsze najgorsi byli tacy odmieńcy jak on. Nie nawiązywał do tego, że jest taki właśnie, i że oni też są inni, nienormalni. Nie nawiązywał do swoich zakłamanych życi, rozdwojone do szaleństwa, bardziej aktorskie i teatralne niż sceniczne gra. Ze by nie dogorywać w rytmie musiał przekreślić tamto życie, opuścić tamto miasto, wtopić się w tłum. Adieu Euro po!

W Zielonej Górze został człowiekiem w jaskrawym pulawku, dyspozytorem w jednej z baz transportowych. Przyjechał się do swojego stolika w kawiarni, bo mimo woli usłyszał rozmowę o panom. Bardzo przeprasza, że podsuł chiwał — czy może wypić z nami lampkę wina? mówicie mi Zdzisław. I tak znalazł się w ogniu niedyskretnych pytań. O Henryku Tomaszewskim powie dział per „głista” i nie chciał rozwijać kwestii, dla niego idolem jest Konrad Drzewiecki. Pytania go nie zraziły — tak przyjemnie porozmawiać o sztuce, o teatrze, o tańcu i jeśli się nie pogniwamy, to proponuję jeszcze jedną lampkę wina. Jest cały przeprasza, cy, jakby skureczony. Nie chce zajmować zbyt wielkiej przestrzeni potrzebnej do życia ludziom normalnym.

— Nie jest ci brak tego wszystkiego, tamtego bogatego życia?

— Przekreślone. Nie ma. Nie było.

Pomachał ręką do chłopaka, który po jawił się w drzwiach kawiarni. — Pozwól panowie, to jest Marian.

Marian był jakiś niespokojny i wręcz wystraszony. Nie czuł się dobrze w obcym towarzystwie.

— Pracujemy w tej samej firmie, za rabinami dość dobrze. Mamy własne mieszkanie — Zdzisław poklepał rękę „Marysia” — a tamtego nie było, nawet omijam tamto miasto. Bardzo przeprasza, ale na nas już pora. Było strasznie przyjemnie, jeszcze raz serdecznie przepraszam i dziękuję.

Odeszli rozmawiając o czymś niemal szeptem, tylko gesty Zdzisława widoczne nawet z daleka mogły świadczyć o tym, że rozmawiają o jakimś ważnym problemie.

PIOTR PIOTROWSKI

obraz uwarunkował w jakimś działaniu ludzi, którzy włożyli duży wkład w budowę i rozwój życia kulturalnego w Polsce Ludowej — na ziemiach wywołanych i odzyskanych po wiekach.

Na konkurs wpłynęło 26 prac. Komisja konkursowa pod przewodnictwem prof. Andrzeja Kwiecieńskiego z UAM w Poznaniu przyznała 2 równorzędne drugie nagrody, które otrzymali: Wanda Kinda z Węgorzka, woj. bydgoskiego oraz Edward Juszczyk z Ostrowa Wlkp. Z przyjemnością informujemy, iż wśród laureatów 4 równorzędnych trzecich na gród znalazł się mieszkaniec Zielonej Góry — Zdzisław Szczepki, a wyróżnienie specjalne, za wnikliwy opis środowiska małomiasteczkowego i dużej wartości literackiej otrzymał Tomasz Florkowski, również z Zielonej Góry. Lubuszanin znalazł się także wśród wyróżnionych: Michał Kaziów, Piotr Kluczyński (obydwaj z Zielonej Góry) i Bożena Kuźela z Zar. Serdecznie gratulujemy.

Nagrody i wyróżnienia ufundowały stowarzyszenia skupione w Konwencie.

(AMC)

Na oddziale położniczym umierają na gle trzy młode matki po wypiciu podanego im leku. Na oddziale noworodków umiera sześciorgo dzieci, którym przedtem podano kropli. W przypadku pierwszym, pielęgniarka pomyliła stółki. W drugim niewłaściwie przechowywany i podany lek, wywołał wstrząs, a następnie zgon.

Cudem zostaje uratowana trójka wcześniaków, gdy stwierdza się, że do inkubatorów dopływa zamiast tlenu inny gaz. Z oddziału dziecięcego ginie chore dziecko — i nie zostaje znalezione do dziś.

Pijany lekarz gwałci pacjentkę. Pijani sanitariusze zaniedbują swoje obowiązki, na skutek czego umiera pacjent w izbie przyjęć.

Wszystkie te wstrząsające fakty, nie zbyt odległe w czasie, zdarzyły się w różnych szpitalach w naszym kraju. Zgromadzone razem, wywołują prawdziwe przerażenie. Tu niedbalstwo, tam nieuwaga, gdzie indziej lekceważenie i brak nadzoru.

Gdyby przejrzeć gazety codzienne, choćby z kilku miesięcy wstecz, można by wynotować wiele innych, może już nie tak tragicznych, ale szkodliwych dla pacjenta uchybień służby zdrowia.

Oto człowiek ze zlamaną ręką, odesłany z pogotowia do szpitala, a następnie ze szpitala z powrotem do pogotowia, co w sumie, wliczając czekanie trwać pół dnia. Sześć godzin cierpienia i zdenerwowania. Oto chore obłożnie, z wysoką gorączką zwleka się z łóżka, ponieważ pomimo zapalenia oskrzeli musi odebrać zwolnienie lekarskie z przychodni, jak każda przepis, konieczne osobiste.

Inny obrazek. Lekarka w przychodni liczy pacjentów — jest ich dwudziestu czterech, po czym zarządza: siostry, proszę wpuszczać po czworo. I siostra robi „komplety” według dolegliwości: w jednym komplecie bóle brzucha, w drugim „krzyże”, w trzecim przebiegi — i tak dalej.

Lekarze twierdzą, że prasa ich nie lubi. Ze z radością rzuci się na każdy negatywny szczegół, roznosząc go, czasem też przeinaczając. — Wy, dziennikarze, lubicie dopasowywać fakty do swoich wyobrażeń — mówią — a w przy-

padku, gdy napiszecie inaczej, niż było naprawdę, nikt nas nie przeprasza, nikt nie prosi, nie odwołuje.

Jest w tym trochę prawdy. Lekarka z warszawskiego pogotowia została najpierw podejrzana, potem oskarżona, wreszcie osadzona „Udowodnij!” jej udział w napadzie na pacjenta oraz rażenie pieniędzy. Rozpisała się cała prasa, a telewizja uznawała incydent taki za wyjątkowo smaczny kasek, pokazała lekarkę milionom widzów, wprawdzie jakby nieco z tyłu i z boku, ale znajomi z pewnością rozpoznali.

Kiedy po pewnym czasie lekarka wyszła na wolność całkowicie oczyszczona z zarzutów, prasa poinformowała o tym dość sucho, jakby z niechęcią. Zadnego „przepraszamy, prostujemy, przykro nam”. Jedynie w „Polityce” i „Kurierze Polskim” znalazłam rozmowy z poszkodowaną. A co na to telewizja? Telewizja — nie.

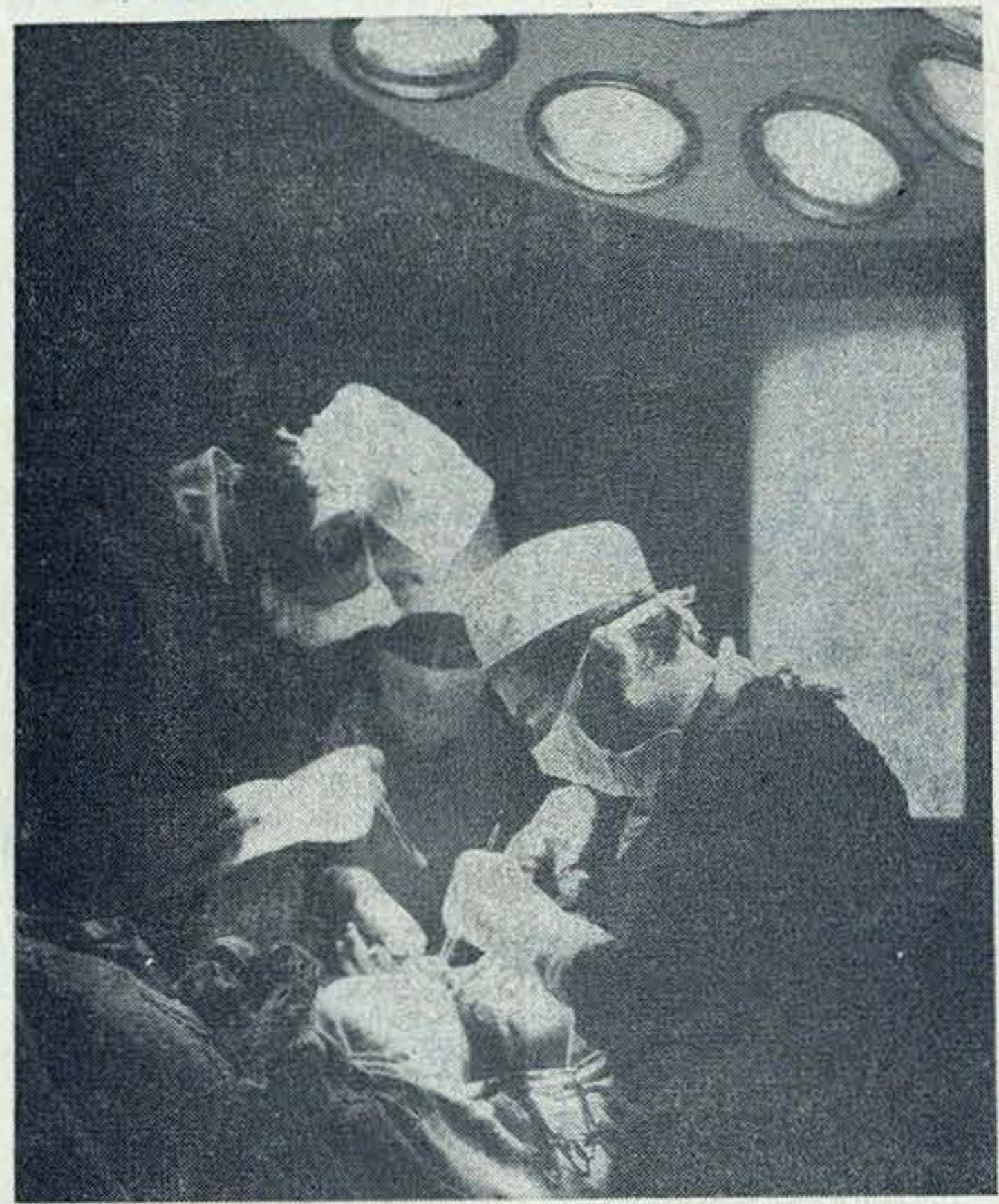
Ci sami redaktorzy powinni poniekąd wyjaśnić i przeprosić naszą koleżankę przed całym krajem — mówią lekarze. Równocześnie ludzie zastanawiają się, jak w ogóle taka pomyłka sądowa mogła zaistnieć i kto jest winien, prokurator czy sąd?

Mylić się jest rzeczą ludzką i jedna pomyłka sądowa nie może podważać generalnie zaufania do sądu, tak, jak pomyłka dziennikarska nie powinna wzbudzać powątpiewania w wiarygodność środków masowego przekazu. Sły szalam jednak takie zdanie, zakończone gorzkim znakiem zapytania: — Jeżeli tak potraktowaliście tę lekarkę, to czy możemy mieć stuprocentową pewność, że winien jest pewien lekarz odsiadujący wyrok za łapówkę? Może i tu świadkowie byli fałszywi, może też podzieliły wasze reportaże?

Rzeczą ludzką jest również wątpliwość. Ale wymienionych na początku informacji o zdarzeniach, jakie miały miejsce w szpitalach, nie skorygowało życie. Te kobiety, te dzieci, ten człowiek w izbie przyjęć, oni naprawdę nie żyją. I nie już nie może się zdarzyć, co zmieni światło w tych sprawach.

Lekarze, a mam wśród nich znajomych i przyjaciół, zarzucają dziennikarzom tendencyjną dociekliwość i rodmuchiwanie byle drobiazgów. Tymczasem tygodnik „Prawo i Życie” zamieścił niedawno krótkie, zapewne autoryzowane opinie posłów o pracy służby zdrowia, ukształtowane na podstawie listów do Sejmu.

Okazuje się, że skargi na służbę zdrowia stanowią 15,6 procent wszystkich spraw kierowanych do Sejmu, co w porównaniu z latami ubiegłymi oznacza wzrost. Ludzie w listach swych skarg są najczęściej na nieprawidłowe leczenie, niedostateczną obsługę pielęgniarską, zle posilki i nie warunki w szpitalach. Krytykowaną jest też organizacja



pracy w przychodniach, co przy zbyt szczerpym personelu potęguje tłok, kolejki i zdenerwowanie w poczekalniach.

Korespondenci wskazali, iż mała liczba placówek oraz lekarzy powinna właśnie zobowiązywać do dobrej organizacji pracy — mówi jeden z posłów. A jest wręcz odwrotnie.

Lekarz ten przyjmuje od godz. 7 do 16, ale w poczekalni bardzo gęsto robi się dopiero koło godz. 11 — i każdy z kilkudziesięciu oczekujących chce być przyjęty w tym dniu.

W spóźnie pacjenci przyjmowani są pojedynczo. Czas pobytu pacjenta w gabinecie lekarza, choć z góry zaplanowany, wydłuża się. Pacjent mówi z czym przyszedł, rozbiera się. Potem znów przez kilka minut się ubiera. Idealnie byłaby taka organizacja pracy, by lekarz otrzymywał gotowy wywiad o pacjencie, wykonywany wcześniej przez sekretarkę, a próg gabinetu przekraczał już przygotowany do badania.

Sekretarka medyczna — zawód u nas raczej nieznan. Osoba taka powinna umieć napisać pod dyktando bezbłędnie historię choroby i receptę, umieć stenografować, znać łacinę. Czyli idealnie wyposażony, do którego długo jeszcze lekarze wzdychają będą na próżno.

Z zażutem obłożnie, czy też „braku zrozumienia dla cierpienia człowieka”, nie umiemy się w ogóle rozmowy. Ich zdaniem cechy takie przypisywane są tym lekarzom, którzy czynności swe wykonują z powagą, bez wielu słów i bez uśmiechu. Trudno czasem o uśmiech po wielu godzinach pracy tak ciężkiej i trudnej.

Burokracja — tak to zmore prawdziwa. — Co najmniej połowę mego czasu zmuszony jestem poświęcić na „zalatwanie” leków, sprzętu, spraw personalnych i innych a większość ich wiąże się z pisaniną — mówi ordynator, wzdychając ciężko już na samą myśl o statystyce. Pość usuniętych migdałków i ślepych kieszek, szwankujących nerek i pecherzy, liczba zgonów i uzdrowień, wszystko musi być starannie policzone, w kategoriach wieku i płci.

Służba zdrowia jest wielkim workiem pełnym problemów. Należałoby dodać — workiem dziurawym. „Lata na lacie” — jak napisała kiedyś Barbara Seidler w „Życiu Literackim”. Nie ma szpitala, przychodni, oddziału, apteki, bez braków.

Spośród problemów wyciągnęłam kilka załedwie. Powinny być przedstawione w formie dialogu: jeśli ta publikacja coś takiego spowoduje, może uda się wyjaśnić choć parę spraw.

Posypały się gesty skarg i zarzuty pod adresem pracowników służby zdrowia. Jak pisał Jan Rem w cyklu „Samosady”, z kolei pracownicy służby zdrowia skarżą się już nie na nieuprzejmość czy „brak zrozumienia”, ale wręcz na agresywność. Jakiej domaga od pacjentów i ich rodzin. W obronie występują związki zawodowe. Swoja sie więc skargi i zarzuty, teraz także i z drugiej strony, a wszystko to denerwuje, zabiera czas i utrudnia, ten tak potrzebny dialog pacjenta z lekarzem.

Na zakończenie obu stron, także sobie i lekarzom z którymi rozmawiałam, dedykuję parę myśli z felietonu Karola Toeplitza pt. „Plama na fartuchu służby zdrowia”, zapieszczonego w wyżej wspomnianym „Życiu Literackim”.

„Słowo, choć nie każde, też leczy i podobnie każdy wkład w porozumienie lekarza z pacjentem sprzyja terapii. Jednak dialog moralny, jeśli ma spełniać swoje terapeutyczne zadanie, wymaga przygotowania doń obu stron. W końcu nie tylko pacjent potrzebuje życzliwości lekarza, też pomoże mu to nie tylko psychicznie i moralnie w wykonywaniu niezwykłego, od powołania lekarza, ale pośrednio także pacjentowi.”

Cytat ten polkijny jak lutek...

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Lubuszanie wśród laureatów konkursu „MOJE DZIAŁANIA W KULTURZE”

Konwent Regionalnych Stowarzyszeń Kulturalnych Kujaw, Pomorza, Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej ogłosił konkurs adresowany do działaczy i organizatorów życia kulturalnego na obszarze działania Konwentu pod nazwą „Moje działania w kulturze”. Celem konkursu było wzbogacenie wiedzy o działalności placówek oświatowo-kulturalnych, organizacji ruchu amatorskiego, towarzystw społecznych upowszechniających naukę, oświatę i kulturę oraz o ludziach uczestniczących w tych procesach. Organizatorom zależało szczególnie na wspomnieniach animatorów życia kulturalnego po 1945 roku, spóźniając się, iż utworzy się w ten sposób

Amaranta Urszula wróciła wraz z pierzonymi aniołami grudnia na skrzydłach wiatru popychającego żaglowiec i przywiozła z sobą męża, na jedwabnym sznurku uwiazanym wokół szyi. Zjawiała się bez uprzedzenia, w sukience barwy kości słoniowej, ze sznurkiem pereł, który sięgał jej po kolana, w pierścionkach zdobnych w szmaragdy i topazy, z krótko uciętymi włosami gładko przylegającymi do twarzy i zakreślonymi koło uszu w kształt jaskółczego ogona. Mężczyzna, za którego wyszła za mąż sześć miesięcy temu, był Flamandczykiem, w pełni wieku, szczupłym i o wyglądzie żeglarsza czy podróżnika. Wystarczyło jej pełną drzwiami salonu, żeby zrozumieć, że jej nieobecność była dłuższa i przyniosła więcej zniszczenia, niż jej się wydawało. (...)

GDZIEŚ



MACONDO...

GABRIEL GARCIA MARQUEZ

W rok po powrocie, chociaż nie zdołała nawiązać ani jednej przyjaźni ani zorganizować żadnej zabawy, Amaranta Urszula nadal wierzyła, że można uratować społeczność, którą upodobał sobie zły los. Gaston, jej mąż, nigdy jej w niczym nie zaprzeczł, chociaż tego śmiercielnego popołudnia, kiedy wysiedli z pociągu, zrozumiał, że zdecydowanie jego żony jest wynikiem mirażów tęsknoty i wspomnień. Pewien zwycięstwa rzeczywistości nad marzami, nie żałował sobie nawet trudu, żeby złożyć rozmontowany welocyped, tylko zajął się wybieraniem jajeczek z pajęczyn zrzuconych przez murarza, otwierając je paznokciami i całe godziny spędzał obserwując przez lupę maleńkie pajęczki, które wychodziły z wnętrza. Później przypuszczając, że Amaranta Urszula nie ustaje w reformach przez upór, zdecydował się zmontować welocyped, którego przednie koło było o wiele większe niż tylne, i poświęcił się łapaniu i dokonywaniu sekcji wszelkich tutejszych insektów, jakie znajdował w okolicy, po czym wysyłał je w słoikach do marmoladzie do swojego dawnego profesora historii naturalnej na uniwersytecie w Liege, gdzie niedługo studiował entomologię i miał duże osiągnięcia w tej dziedzinie, chociaż jego głównym powołaniem była aeronautyka. Na rowerze jeździł w spodniach cyrkowca, grubych skarpetkach szkodliwego kobziarza i cyklistów detektywa, ale na piesze spacery chodził ubrany w mieniący się liny garnitur, białe pantofle, jedwabny krawat, kapelusz canotier i z wiklinową laseczką. Miał jasne żłreńce, które podkreślały jego wygląd żeglarsza, i wąsik rudy jak wiewiórka. Chociaż był co najmniej o piętnaście lat starszy od żony, jego upodobania, zawsze czujna troska o jej zadowolenie i zalety jako kochanka rekompensowały różnicę wieku. Ktokolwiek widział tego czterdziestolatka o powściągliwym sposobie bycia, z jedwabną smyczą na szyi, z cyrkowym rowerem, nigdy by nie przypuszczał, że łączy go z młodą żoną pakt nieokreślonej miłości i że oboje ulegali wzajemnej palącej potrzebie w miejscach najmniej do tego odpowiednich, gdziekolwiek przyszło im natchnienie, tak samo jak w pierwszych czasach znajomości i z pasją, którą bieg czasu i coraz bardziej niezwykłe okoliczności czyniły coraz głębszą i bogatszą. Gaston nie tylko był gwałtownym kochankiem o niewyčerpanej wyobraźni i wiedzy, ale także prawdopodobnie pierwszym w dziejach ludzkości człowiekiem, który dokonał przymusowego ładowania i omal się przy tym nie zabił, razem ze swoją narzeczoną, tylko po to, żeby kochać się z nią na łańcuchach.

Poznali się na trzy lata przed ślubem, kiedy w sportowym dwupłatowcu zataczał piruty nad budynkiem szkoły, gdzie uczyła się Amaranta Urszula. Dokonał niebezpiecznego manewru, żeby nie zawadzić o drzewce flagi, i przymitywny kadłub z drewna i panceru aluminiowego zawisł ogonem na drutach telegraficznych. Od tego czasu, nie zważając na swoje nogi w gipsie, przychodził co sobota do Amaranty Urszule na pensję zakonna, w której nadal mieszkała i której regulamin nie był tak surowy, jakby sobie tego życzyła Fernanda, i zabierał ją do swojego klubu sportowego. Zaczęli kochać się na wysokości 300 metrów w niedzielnym powietrzu nad wrzosiwiskiem, i tym bliżej czuli się sobie nawzajem, im mniejsze stawały się istoty ludzkie na ziemi. Ona opowiadała mu o Macondo jako o najpiękniejszym, najmilszym miejscu świata i o wielkim domu pachnącym ziołami, gdzie chciałaby mieszkać do późnej starości z wiernym mężem i dwoma niesfornymi synami, którzy nazywaliby się Rodrigo i Gonzalo, a w żadnym wypadku nie Aureliano i Jose Arcadio, i córka imieniem Virginia, a nigdy Remedios. Wspominała to miasto, wyidealizowane przez tęsknotę, z urojeniem i uporem, które kazali zrozumieć Gastonowi, że ona nie chce wyjść za niego, jeżeli jej nie zawiezie do Macondo. Zgodził się na to, tak samo jak później zgodził się na smycz, bo uważał to za przejściowy kaprys, który lepiej było pozostawić czasowi, ale kiedy minęły dwa lata w Macondo i Amaranta Urszula nadal czuła się tam równie szczęśliwa jak pierwszego dnia, zaczął się niepokoić. Do tego czasu zbadał już i rozczłonkował wszystkie nadające się do tego owady w całej okolicy, mówił no hiszpańsku jak tubylec i rozwiązał wszystkie krzyżówki w czasopiśmiech przysyłanych pocztą. Nie mógł powołać się na klimat jako pretekst do przyspieszenia powrotu, gdyż natura obdarzyła go kolosalną wrażliwością, która bez szwanku wytrzymywała wilgotną duszność powietrza i wodę z kilankami. Kuchnia kreolska smakowała mu tak, że kiedyś

zjadł potrawę z osiemdziesięciu dwóch jajek iguan, Amaranta Urszula, przeciwnie, kazała sprządać kolejną rybę i skorupiaki w skrzynkach z lodem, mięso w puszkach i owoce w cukrze, bo to tylko mogła jadać. Ubięła się wciąż zgo dnia z modą europejską i nadal otrzymywała żurnale, chociaż nie miała żadnych wizyt do składania ani przyjmowania, a jej mąż już w tym czasie nie był w odpowiednim humorze, by oceniać jej krótkie sukienki, wykintne filcowe kapelusze i naszyjniki siedem razy okręcane wokół szyi. Jej sekret zdawał się polegać na tym, że zawsze znajdowała sobie coś do roboty, bądź rozwiązując problemy domowe, które sama stwarzała, bądź robiąc źle niektóre rzeczy, by je nazajutrz poprawiać, z przewrotną skwapliwością, która Fernandez wydawałaby się dziecinny nałogiem pracy bez celu i sensu. Upodobanie do zabawy było w niej wciąż tak żywe, że kiedy otrzymywała nowe płyty, wołała Gastona do salonu, żeby ćwiczyć do późna nowe tańce, które opisywały jej koleżanki ze szkoły, zającącaj rysunki, co zwykle kończyło się miłością w wiedeńskich fotelach albo na podłodze. Do

pełnego szczęścia brakowało jej tylko dziecka, ale szanowała pakt zawarty ze swoim mężem, że by nie mieć dzieci przed upływem pięciu lat małżeństwa. (...)

Powrót Amaranty Urszuli, choć ona tego nie zauważyła, wprowadził radykalną zmianę w życiu Aureliana. Po śmierci Jose Arcadio stał się częstym klientem księgarni katońskich medreca. Poza tym wolność, jaką się cieszył i czas, jakim dysponował, rozbudziły w nim pewną ciękawość dla miasteczka, które poznawał bez zdziwienia. (...)

Te wędrowki zawiadły go do zrujnowanej dzielnicy rozrywki, w której niedługo dla ożywienia nastroju palono całe pliki banknotów, a która teraz była rumowiskiem ulic bardziej niż inne dotkniętych zniszczeniem i nędzą; gdzieś tam paliły się tu jeszcze czerwone żarówki, a w opus toszących, przybranych strzępami girland salonnach tancecznych wybladłe i nalane wdowy po nikim, prababki francuskie i babilońskie matrony wciąż czekały na progach. Aureliano nie znalazł nikogo, kto pamiętałby jego rodzinę, nawet pułkownika Aureliano Buendia, oprócz najstarszego z Murzynów z Antylli, starca, którego biała głowa przypominała fotograficzny negatyw i który siedząc na ganku przed domem śpiewał wciąż jeszcze psalmy przedwieczne. Aureliano rozmawiał z nim w jego dziwnym języku, którego wyuczył się w kilka tygodni, a czasami dzielił z nim rosół z kogucich łebków ugotowany przez jego prawnuczkę, ołbrzymią grubościastą Murzynkę o biodrach klaczy, piersiach jak melony i okraszą jak kula głowie opancerzonej twardą otoczką drucianych włosów podobnych do helmu średnio-wiecznego wojownika. Nazywała się Nigromanta. W tym okresie Aureliano żył ze sprzedanych srebrnych sztućców, lichtarzy i innych drobiazgów domowych. Kiedy nie miał ani grosza w kieszeni, co się zdarzało nader często, zbierał od właścicieli straganów na rynku kogucie głowy przeznaczone do wyrzucenia na śmieci i zanosił je Nigromancie, żeby mu gotowała swoje zupy perfumowane żółciem. Po śmierci starego Aureliano przestał przychodzić do ich domu, ale spotykał się z Nigromantą w cieniu migdałowców na rynku, gdzie swoimi gwiazdami dziłkiego zwierciadła wabiła nierzeczywistość. Często spędzał z nią długie godziny, rozmawiając w narzeczu murzyńskim o zapachach z kogucich głów i innych przysmakach nędzy, i trwałoby to bez końca, gdyby nie zwrócił mu uwagi, że jego towarzysstwo odstrasza klientów. Chociaż nieraz ogarniała go pokusa i pomimo że samej Nigromancie wydawałoby się to naturalnym dopełnieniem ich znajomości, nigdy z nią nie spał. Toteż nie znalazł jeszcze kobiety, kiedy Amaranta Urszula powróciła do Macondo i otoczyła go ramionami w siostrzańskim uścisku, który zaparł mu dech. Niekróć ją widział, a gorzej jeszcze, kiedy uczyła go modnych tańców, dręczyła go ta sama słabość w kościach, którą odczuwał praprapradziadek, gdy Pilar Ter nera pokazywała mu w szpiarni sztuczki karciane. Żeby uśmierzyć młotającą nim burzę, pograżył się jeszcze bardziej w perzaminach i uniął niewinnych zaczepkę tej ciotki, której obraz nie dawał mu spać po nocach, lecz nim bardziej od niej uciekał, tym większy niepokój wywoływał w nim jej hałaśliwy śmiech i mruczenie szczęśliwej kotki lub dziekocynne pienia samicy omdlejącej z miłości, o byle jakiej godzinie i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach domu. Pe wnej nocy o dziesięć metrów od jego łóżka, na stole w warsztacie złotniczym, małżonkowie w napadzie miłosnego szaleństwa potłukli szkła i kochali się w kałuży kwasu solnego. Aureliano nie zmrużył oka ani przez minutę, a nazajutrz miał gorączkę i dusił go szloch wściekłości. Przez długie jak wieczność godziny czekał nadejścia nocy i spotkania z Nigromantą w cieniu migdałowców, czując na całym ciele ukięcia lodowatych igieł niepewności i ściskając w dłoni peso i pięćdziesiąt centavos o które poprosił Amarantę Urszulę nie tyle dlatego, żeby ich potrzebował, ale żeby ją w jakiś sposób w to wciągnąć, zbrukać i sponiewierając przez przegrodę. Nigromanta zaprowadziła go do swego nokoiku oświetlonego świeczkami, do swego żelaznego łóżka z przesłoniętym nasłanianym nieczystą miłością i swego ciała ziej zuki, zatwardziały i niekochanej, gotowej odprawić go jak wystraszone dziecko, i znalazła się nagle oko w oko z mężczyzną, którego ołbrzymia moc żądała od niej reakcji potężniejszej niż wstrząs seismiczny. (...)

Zostali kochankami, Aureliano spędzał ranki na odcyfrowywaniu pergaminów, a w porze śniadania szedł do odurzającej sypialni, gdzie czekała

Sceny miłosne w literaturze pięknej

go Nigromanta, żeby w końcu uczyć najpierw, jak to robią glisty, potem zaby, a w końcu raki. Minęło wiele tygodni, zanim Aureliano odkrył, że jego kochanka nigdy nie zdejmuje z siebie cieniutkiego paska, który nosiła na gołym ciele i który zdawał się zrobiony ze struny skrzypiec, ale był twardy jak stal i nie miał zapiecia, bo urodziła się w nim i z nim razem rosła. W przerwach między miłością jedli siedząc nago w łóżku, w obłędnym upale i pod gwiazdami dnia, które rda wyzerwała na cynkowym dachu. Po raz pierwszy Nigromanta miała stałego mężczyznę, „domowego”, jak mówiła ze śmiechem, i nawet zaczynała ulegać złudzeniom serca, kiedy Aureliano wyznał jej swoją tłumioną namiętność dla Amaranty Urszuli, żądze, której nie zdołała uleczyć namiastki i która spalała go,

znalazł w wymagowanym burdeliku końską kurację na swoją niesmiałość. Z początku nie mógł dojść do niczego w pokojach, dokąd właścicielka wchodziła w szczytowych momentach miłości robiąc uwagi na temat intymnych powabów uczestników spektaklu. Z czasem jednak tak się oswoił z tymi zwyczajami, że pewnej nocy, z mniej jeszcze prawdziwego zdarzenia niż inne, rozebrał się w poczekalni i przedelfował przez cały dom utrzymując w równowadze butelkę piwa na swoim niesamowitym falusie. On to wprowadził w modę ekstrawagancję, które właścicielka aprobowała swoim wieczystym uśmiechem, nie dowierając, nie protestując nawet wtedy, gdy Herman usiłował podpaść dom, by udowodnić, że nie istnieje, ani kiedy Alfonso ukręcił głowę papudze i wrzucił ją do garnka, gdzie gotował się rosół z kury. (...)

Było pół do piątej po południu, kiedy Amaranta wyszła z łazienki. Aureliano zobaczył ją przechodzącą obok jego pokoju w szlafroku w drobne faldy, z ręcznikiem okręconym wokół głowy jak turban. Poszedł za nią na palcach zataczając się jak pijany i wszedł do małżeńskiej sypialni w chwili, kiedy ona rozchyliła szlafrok i przerażona znowu się okryła. Zrobiła niemy gest w stronę przyległego pokoju, gdzie za uchylonymi drzwiami, jak wiedział Aureliano, Gaston zaczynał pisać list.

— Idź precz — powiedziała bezgłośnie. Aureliano uśmiechnął się, chwycił ją w tali oburącz jak doniczkę z begoniami i rzucił na łóżko. Brutalnym szarpnięciem zerwał płaszcz kąpielowy, zanim zdążyła mu przeszkodzić, i spojrzał w przepaść świeżo umytej nagoci, gdzie nie było ani jednego odcienia skóry, ani jednej smugi puszku ani nieprzryka, którego by nie wysił w ciemnościach innych pokoiów. Amaranta Urszula broniła się szczerze, z chytrością doświadczoną samicy, i podczas gdy na próżno usiłował schwytać wymykające mu się z rak zwinnie ciało, próbowała odbić mu nerki kolanami i ryla mu twarz paznokciami, ale ani z jego ani z jej ust nie wydobyło się bodaj jedno westchnienie, którego nie można by wziąć za głęboki oddech kogoś, kto patrzy na zwykły zmierzch kwietniowy przez otwarte okno. Była to dzika walka na śmierć i życie, ale wydawała się pozbawiona wszelkiej gwałtowności, bo składowy się na nią konwulsyjne ataki i widmowe odwroty, ruchy powolne, ostrożne, uroczyście, tak że między jednym a drugim doświadczeniem czasu na to, by na nowo zakwitły petunie, a Gaston w sąsiednim pokoju zapomni o swoich snach żeglarsza powietrznego, tak jakby byli dwójkiem wrogich kochanków usiłujących połączyć się na dnie przeźroczystego stawu. W ogniu zacieklej i uroczyściej próby sił Amaranta Urszula zrozumiała, że skrupulatność jej milczenia jest tak irracjonalna, że grozi wzbudzeniem podejrzeń meza o wiele bardziej niż odłożony wojen, których starali się uniknąć. Wtedy zaczęła się śmiać z zadziwionymi ustami, nie rezygnując z walki, ale bropiąc się z pewną sztucznością, i wywijał się coraz mniej błyskawicznie aż do chwili, gdy oboje zdali sobie sprawę, że są jednocześnie przeciwnikami i współnikami, i potyczka przeobraziła się w konwencjonalne igrzyski, a wrogie agresje — w pieszczoty. Nagle, nie mal w zabawie, jakby to był jeszcze jeden fidegiel, Amaranta Urszula zaprzęstała obrony na ułamek sekundy, a gdy zareagowała, przerażona tym, do czego sama douściła, było już za późno. Straszliwy wstrząs unieruchomił ją w punkcie ciekości i przegwoździł do miejsca, a wole obrony zdruzgotała nieodparta żądza odkrycia, czym są te nomańskie swasty i niewidzialne sfery czekające na nią po drugiej stronie śmierci. Ledwie zdążyła wyrywać rękę, po omacku wsłuchała się w ciszę, która przetrwała, żeby nie wyrwać się z nich miauczenie kotki, rozdzierające już jej wnętrzności.

(Fragmenty prozy wybitnego pisarza pochodzą z powieści „Sto lat samotności”, PIW 1978, przekład Gracyna Grudzińskiego i Kławy Wolciechowskiej.)

Beata Ananiewicz - Szmidt



Tak cierpieć by cię obudzić: ale nie kochać nie pragnąć i już mówić o tobie TAK drzeć i próbować cię na oślep w ciemności w tym wiecznym kłamiącym śnie Widzieć twoje oczy i rękę chytrą acz spokojną to może mnie uspokoić Jestem chwilami obcą kobietą w białej sukni wtedy ty zapalasz papierosa i nie wiesz co robić nie wiesz jak odsłonić się zażenowany: wszystko zrozumiałam



po blaszce jesiennego liścia po żdźbale trawy po deszczu który teraz wydaje się stworzeniem dobrze oswojonym Po kochaniu nas za szerokobiodre obietnice za czarna podwiązkę i strusie pióro na lewym ramieniu Po dusznej woni zgubionego pokoju i czekaniu ze złowrogą bojaźnią po oszczędzaniu bohaterów naszych pomyłek i po tym ostatecznym i nieuleczalnym nie boję się już niczego wszak jestem w miarę rozsądna oczekując jedynie cichego pytania o cokolwiek



WYBIERAMY GWIAZDY FILMOWEGO SEZONU 1985

Tradycyjny plebiscyt „Gazety Lubuskiej”, „Nadodrza”, „Sztandaru Młodych” i „Ekranu”

W czerwcu br. w Łagowie odbędzie się kolejne Lubuskie Lato Filmowe, którego głównymi organizatorami są Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpoznawania Filmów w Zielonej Górze i Stowarzyszenie Filmowców Polskich. Podobnie jak na poprzednich imprezach redakcje „Gazety Lubuskiej”, „Sztandaru Młodych”, „Nadodrza” i „Ekranu” ogłaszają wielki plebiscyt „Wybieramy Gwiazdy Filmowego Sezonu 1985 r.”.

Wszystkich naszych czytelników zapraszamy do udziału w wyborze pary najpopularniejszych aktorów filmowych. Warunkiem uczestnictwa w plebiscyście jest wysłanie na kartce pocztowej nazwiska jednej aktorki i jednego aktora, występujących w polskich filmach fabularnych, które miały premiery kinowe w 1985 r. Na odwrocie kartki prosimy podać swoje nazwisko i adres z kodem pocztowym. (Jednocześnie zaznaczamy, że plebiscytem nie są objęte widowiska i filmy telewizyjne). Przy każdym nazwisku wybieranej pary aktorów prosimy podać tytuł filmu (lub filmów), w którym dany aktor brał udział.

Wypełnione kartki pocztowe należy przysłać na adres 65-783 Zielona Góra, skrytka pocztowa 104, z dopiskiem „Gwiazdy filmowego sezonu”. Termin nadsyłania kart upływa z dniem 20 czerwca 1986 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Wyniki plebiscytu ogłoszone zostaną podczas uroczystości zakończenia Lubuskiego Lata Filmowego — Łagów 86. Wtedy też odbędzie się losowanie nagród dla uczestników plebiscytu bonów oszczędnościowych PKO na kwotę 28 tys. złotych oraz 50 fotofilmów gwiazd filmowego sezonu z ich dedykacjami.

Udział w plebiscyście daje zatem nie tylko satysfakcję, ale i szansę otrzymania nagrody pieniężnej lub sympatycznej pamiątki.

A oto lista filmów objętych plebiscytem, z wykazem aktorów głównych ról.

1. „SZKODA TWOICH LĘZ” — Izabela Trojanowska, Krzysztof Chamiec.
2. „FUCHA” — Marian Kociniak, Jerzy Bończak.
3. „RECE DO GÓRY” — Joanna Szczepiec, Jerzy Skolimowski, Tadeusz Łomnicki.
4. „OBI-OBA. KONIEC CYWILIZACJI” — Krystyna Janda, Jerzy Stuhr.
5. „WIE” — Marzena Trybała, Ewa Dąkowska, Marek Herbil.
6. „SZALEŃSTWA PANNY EWEY” — Dorota Grzelak, Emilian Kamiński.
7. „MGLA” — Ewa Wiśniewska, Jan Frycz.
8. „FETYSZ” — Jan Prochyra, Ewa Ziętek.
9. „CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE” — Olga Jackowska, Marek Jackowski.
10. „PRZEKŁĘTE OKO PROROKA” — Zbigniew Borek, Andrzej Kozak.
11. „ROK SPOKOJNEGO SŁONCA” — Maja Komorowska, Scott Wilson.
12. „NADZOR” — Magdalena Gwiazdowska, Grażyna Szapolowska, Ewa Blaszczyk, Teresa Sawicka, Ewa Szykulska, Andrzej Karolak.
13. „PRZYSPIESZENIE” — Beata Tyszkiewicz, Krzysztof Kolberger.
14. „SNY I MARZENIA” — Alfred Freudenheim, Janusz Kłosiński.
15. „BARYTON” — Zbigniew Zapasiewicz, Małgorzata Pieczyńska.
16. „ALABAMA” — Maria Probosz, Grzegorz Matusik.
17. „W STARYM DWORKU, CZYLI NIEPODLEGŁOŚĆ TRÓJKĄTÓW” — Beata Tyszkiewicz, Gustaw Holoubek, Grażyna Szapolowska, Jerzy Bończak.
18. „DOLINA SZCZĘŚCIA” — Michał Juszczakiewicz, Zbigniew Buczkowski, Gustaw Lutkiewicz, Iwona Bielicka.
19. „VABANK II, CZYLI RIPOSTA” — Jan Machulski, Ewa Szykulska, Leonard Pietraszek.
20. „SMAŻALNIA STORY” — Zbigniew Buczkowski, Zdzisław Smektała, Iwona Kubick.
21. „PIETNO” — Maciej Góraj, Grażyna Skorutowska.
22. „YESTERDAY” — Anna Kaźmierczak, Piotr Siwkiewicz, Andrzej Zieliński, Robert Piechoła, Waldemar Ignaczak.
23. „BEZ KONCA” — Grażyna Szapolowska, Jerzy Radziwiłowicz.
24. „SPRAWA SIĘ RYPLA” — Franciszek Pieczka, Justyna Pilarz.
25. „MIŁOŚĆ Z LISTY PRZEBÓJÓW” — Adrianna Biedrzyńska, Tomasz Dedeck.
26. „ROMANS Z INTRUZEM” — Aleksander Mikołajczak, Klaus Peter Thiele, Katarzyna Pawlak.
27. „KOBIETA W KAPELUSZU” — Hanna Mikuć, Krzysztof Gosztyła.
28. „POBOJOWISKO” — Janusz Rafał Nowicki, Halina Bednarz.
29. „KIM JEST TEN CZŁOWIEK” — Henryk Talaz, Ewa Szykulska.
30. „PISMAK” — Wojciech Wysocki, Gabriela Kownacka.
31. „CZTERY PORY ROKU” — Iga Cembryńska, Andrzej Kondratiuk.
32. „ZABICIE CIOTKI” — Robert Herubin, Maria Klejdysz.
33. „DOM WARIATÓW” — Tadeusz Łomnicki, Marek Kondrat, Bohdana Majda.
34. „PRZEMYTNIICY” — Katarzyna Litwin, Bożena Dykiel, Joachim Lamża, Janusz Gajos.
35. „IDOL” — Krzysztof Pieczyński, Ewa Zukowska.
36. „MEDIUM” — Władysław Kowalski, Grażyna Szapolowska, Jerzy Stuhr, Ewa Dąkowska.
37. „CIEN JUŻ NIE DALEKO” — Mariusz Dmochowski, Jarosław Kopaczewski.
38. „OCH KAROL” — Jan Piechociński, Danuta Kowalska, Marta Klubowicz, Dorota Kamińska, Jolanta Nowak, Urszula Kasprzak.
39. „KOBIETA Z PROWINCJI” — Ewa Dąkowska.
40. „JESTEM PRZECIW” — Anna Gronostaj, Jolanta Płetek, Rafał Wieczyński, Daniel Olbrychski.
41. „PRZEZNACZENIE” — Anna Dymna, Mariusz Benoit.
42. „DIABELSKIE SZCZĘŚCIE” — Franciszek Trzeciak, Tatiana Sosna-Sarno.
43. „ŚLADY WILCZYCH ZĘBÓW” — Marek Probosz, Mirosław Marcheluk.

Listę filmów objętych plebiscytem z wykazem aktorów głównych ról przygotowała w OPRF w Zielonej Górze.

Laureatami poprzednich plebiscytów byli: rok 1969 — Magdalena Zawadzka i Tadeusz Łomnicki, 1970 — Małgorzata Braunek i Daniel Olbrychski, 1971 — Barbara Brylska i Olgierd Łukaszewicz, 1972 — Maja Komorowska i Karol Strasburger, 1973 — Barbara Brylska i Jan Englert, 1974 — Emilia Krakowska i Ryszard Filipiak, 1975 — Małgorzata Braunek i Daniel Olbrychski, 1976 — Jadwiga Barańska i Jerzy Bińczycki, 1977 — Elżbieta Starosiecka i Leszek Teleszyński, 1978 — Krystyna Janda i Mirosław Konarski, 1979 — Gabriela Kownacka i Piotr Fronczewski, 1980 — Anna Seniuk i Jerzy Stuhr. W sezonach filmowych 1981 i 1982 nie organizowano plebiscytu. W roku 1983 w plebiscyście zwyciężyli Anna Dymna i Jan Nowicki. Laureaci ubiegłorocznego to Grażyna Szapolowska i Piotr Fronczewski.

Wyraża Pan swoje uczucia w sposób bezpośredni i szczery, niestety — brakuje wartości artystycznych. Poezja rządzi się własnymi prawami i nawet najbardziej słusze refleksje nie zastąpią niezbędnej formy wzruszającej czy teatralnej. Dziękujemy, nie skorzystamy. Jan Ch., Zielona Góra. Przeczytałem Pańskie frazki i sądzę, że trafnie poruszają one niektóre tematy z życia. Po nieważ jednak w ogóle nie publikujemy tego typu utworów, więc też nie skorzystamy z Pańskiej propozycji. Zbigniew S., Gorzów. Liryki miłosne, które Pan nam nadesłał, są być może zapowiedzią przyszłych Pańskich osiągnięć, lecz na razie nie spełniają warunków, jakie obowiązują w poezji. Są to teksty, pisane w tradycyjnej konwen-

SPROSTOWANIE

Autorem opracowania wspomnień F. Widy Wierskiego opublikowanych w nr 7 jest Władysław J. Ciesielski a nie W. J. Cegielski. Autora i Czytelników przepraszamy.

Nagroda dla Haliny Ańskiej

Nasza redakcyjna koleżanka Halina Ańska otrzymała III nagrodę w ogólnopolskim dorocznym konkursie na najlepsze publikacje o tematyce trzeźwości, zorganizowanym przez Zarząd Główny Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego. Gratulujemy! Dodatek wypada, że nagrodzone reportaże Haliny Ańskiej ukazały się wcześniej na łamach „Nadodrza”.

GORZÓW. W województwie gorzowskim trwa Przegląd Amatorskiego Ruchu Artystycznego. W eliminacjach wojewódzkich chorów wzięło udział 20 zespołów. Do udziału w drugim etapie VI Ogólnopolskiego Przeglądu Chórów Szkolnych jury zakwalifikowało: chór Szkoły Podstawowej nr 2 w Mysłiborzu, chór Szkoły Podstawowej nr 1 w Barlinku i chór Studium Nauczycielskiego w Gorzowie. W eliminacjach międzywojewódzkich XI Ogólnopolskiego Festiwalu Pieśni Chóralnej województwo gorzowskie będą reprezentowały chóry: Szkoły Podstawowej nr 2 w Choszczynie, Szkoły Podstawowej nr 2 w Barlinku i „Lutnia” w Międzychodzie.

* Ogłoszony w ubiegłym roku przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury i „Ziemię Gorzowską” konkurs literacki został rozstrzygnięty. Jury pod przewodnictwem wiceprezesa Zarządu Głównego ZIP Zygmunta Wójcika oceniło 13 opowiadań, przyznając pierwszą nagrodę Zygmuntovi Trziszce z Warszawy (w latach powojennych pisarz mieszkał w Jastrzębniku, uczył się w Skwierzynie, pracował w Kłodawie). Laureatkami pozostałych nagród zostały: drugie — Krystyna Jarocka, trzecie — Beata Ananiewicz-Smidt, obie z Gorzowa. W kategorii reportażu jury przyznało tylko jedno wyróżnienie, otrzymał je Zenon Nowopolski z Gorzowa. Po wręczeniu nagród Z. Wójcik spotkał się z członkami Klubu Literackiego GTK.

ŁAGÓW. Ustalono już, że XVI Lubuskie Lato Filmowe odbędzie się w dniach 22-29 czerwca br. Program imprezy wypełnią seminaria twórcze Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych, pokazy filmowe oraz spotkania dyskusyjne twórców z widzami. Wzorem lat ubiegłych zorganizowany został plebiscyt czytelników i widzów „Wybieramy gwiazdy filmowego sezonu 1985” (Czyt. obok). Impreza łagowska zaliczana jest do najważniejszych wydarzeń w życiu środowiska filmowego kraju. Przypominamy, że właśnie w Łagowie w 1970 r. Kazimierz Kutz otrzymał „Złote Grono” za film „Sól ziemi czarnej”. Laureatami tej nagrody byli m.in. Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Janusz Morgenstern, Jerzy Stuhr, Krystyna Janda, Jerzy Kawalerowicz. W plebiscyście publiczności zwyciężali najpopularniejsi aktorzy, m.in. Andrzej Zapasiewicz, Franciszek Pieczka, Dorota Stalińska.

NADNIA. Z dużym opóźnieniem odbyła się „Biesiada koźlarska w Nadni” koło Zbąszynia. W tym roku w imprezie wzięło udział 42 instrumentalistów ludowych z „regionu koźla” oraz zespół z Przyprostyni. Impreza odbyła się corocznie od 1972 r., a jej celem jest upowszechnianie folkloru i sztuki ludowej. Reżyser Zenon Piszczynski z Klubu Filmowego „Lubusz” nakręcił film „Ja tam byłem...”, wyróżniony w 1978 r. na Lubuskim Przeglądzie Filmów Amatorskich. W tym roku organizatorzy wyświetlili film Janusza Łomskiego „Spadł z pieca gołabeł”, zrealizowany w Lubuskim Klubie Filmowym. Wydawać by się mogło, że impreza w Nadni cieszy się dużym powodzeniem wśród tamtejszej społeczności. Niestety, jest inaczej. Sala Wiejskiego Domu Kultury wcale nie była zapełniona, w Nadni rozpadła się kapela, a i główni inicjatorzy „Biesiady” nie są zainteresowani organizowaniem jej poza Zbąszyniem. Zdaniem działaczy ze Stowarzyszenia Muzyków Ludowych następne „biesiady” należy odbywać w Zbąszyniu.

DRZONÓW. Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie koło Zielonej Góry otrzymało imię II Armii Wojska Polskiego, której oddziały w 1945 r. wyzwalały Ziemię Lubuską. W zbiorach muzeum znajduje się wiele unikalnych eksponatów, m.in. największy w naszym powojennym lotnictwie wojskowym samolot bombowy Il-28, samolot szkoleniowo-treningowy TS-8, samolot myśliwski MIG-21 (jedyny egzemplarz w polskich muzeach). Muzeum gromadzi dzieła sztuki związane z obronnością i wojskowością.

ZIELONA GÓRA. 70 rocznicę urodzin obchodził artysta malarz Hilary Gwizdała, od wielu lat trwale związany z środowiskiem Nadodrza. Z tej okazji artysta otrzymał życzenia od przyjaciół i władz. H. Gwizdała w 1954 r. otrzymał dyplom na Wydziale Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był uczniem prof. Jana Cybisa. Czynnie uczestniczył w życiu artystycznym Ziemi Lubuskiej, biorąc udział w wystawach, plenerach i konkursach. Jego prace znajdują się w zbiorach państwowych i prywatnych, w kraju i za granicą.

* Wręczono Nagrody Twórcze Młodych „Zielone Grono”. Nagrody za działalność artystyczną otrzymali: Leszek Hermanowicz — rysownik, redaktor graficzno-techniczny „Nadodrza”, Dorota Siuda — skrzypaczka, studentka bydgoskiej Akademii Muzycznej, wychowanka Stanisława Hajzera, Zbigniew Szymaniak — artysta malarz, współorganizator I Biennale Sztuki Nowej. Nagrody za pracę naukową organizatorzy przyznali: dr Wiesławowi Hładkiewiczowi — historykowi z Wyższej Szkoły Pedagogicznej i dr Włodzimierzowi Kwasniewiczowi — historykowi, dyrektori Lubuskiego Muzeum Wojskowego im. II Armii Wojska Polskiego. Po raz pierwszy wśród laureatów zabrakło przedstawiciela środowiska literackiego, które w tym roku obchodzi swoje czterdzieste. Nie mamy pretensji do komisji nagród, ale stwierdzamy, że w jej pracach nie brali udziału laureaci nagród z lat poprzednich. Regulamin nagród mówi, że w skład Kapituły wchodzi „starzy” laureaci, którzy przyznają nagrody, zatwierdzone następnie przez Prezydium Zarządu Wojewódzkiego ZSMP. W tym roku nagrody, na wniosek stowarzyszeń i związków twórczych, przyznała Kapituła składająca się z... No właśnie, z kogo? Zastanawiamy się, dlaczego wśród tegorocznych laureatów jest aż dwu przedstawicieli środowiska plastycznego, a zabrakło młodego pisarza. Wiemy, że Zarząd Oddziału ZLP w wyznaczonym terminie złożył odpowiednio umotywowany wniosek.

* Środowisko akademickie zorganizowało XI Ogólnopolski Przegląd Piosenki Turystycznej „Włocząga '86”. Ani w latach poprzednich, ani też w tym roku nie otrzymaliśmy zaproszenia na imprezę, mieliśmy trudności w ustaleniu: kto przyjechał, kto wygrał, co śpiewała turystyczna młodzież. Informację tę podajemy tylko na podstawie anonisu w „Gazecie Lubuskiej”.

ZAPROSILI NAS: Lubuskie Muzeum Wojskowe na uroczystość nadania tej placówce imienia II Armii Wojska Polskiego; Izba Rzemieślnicza w Zielonej Górze na uroczyste obchody XXXV-lecia działalności i Dnia Rzemiosła Lubuskiego; Teatr Lubuski na premierę „Moralności pani Dulskiej”; Biuro Wystaw Artystycznych we Wrocławiu na wystawę prac ceramicznych Romany Kaszczyk z Barlinka; Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na posiedzenie plenarne Komisji Historycznej; Społeczne Ognisko Muzyczne w Zielonej Górze na całonocny pokaz form pracy SOA; Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Pax w Zielonej Górze na prelekcję Adama Pruszmonta oraz Jana Szczanieckiego; Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze na XIII Biesiadę Koźlarską w Nadni; Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na uroczyste spotkanie i okazję 10-lecia ZSMP; prof. dr Bogdan Suchodolski na Spotkanie Zamkowe Narodowej Rady Kultury.

Dziękujemy.

nadodrza

DWUTYTYDNIOWY PRACOWNICZY NIEPŁACENY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-558 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat — 708-35, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7 łączny telefon wewnętrzny. Telex — 043-2253.

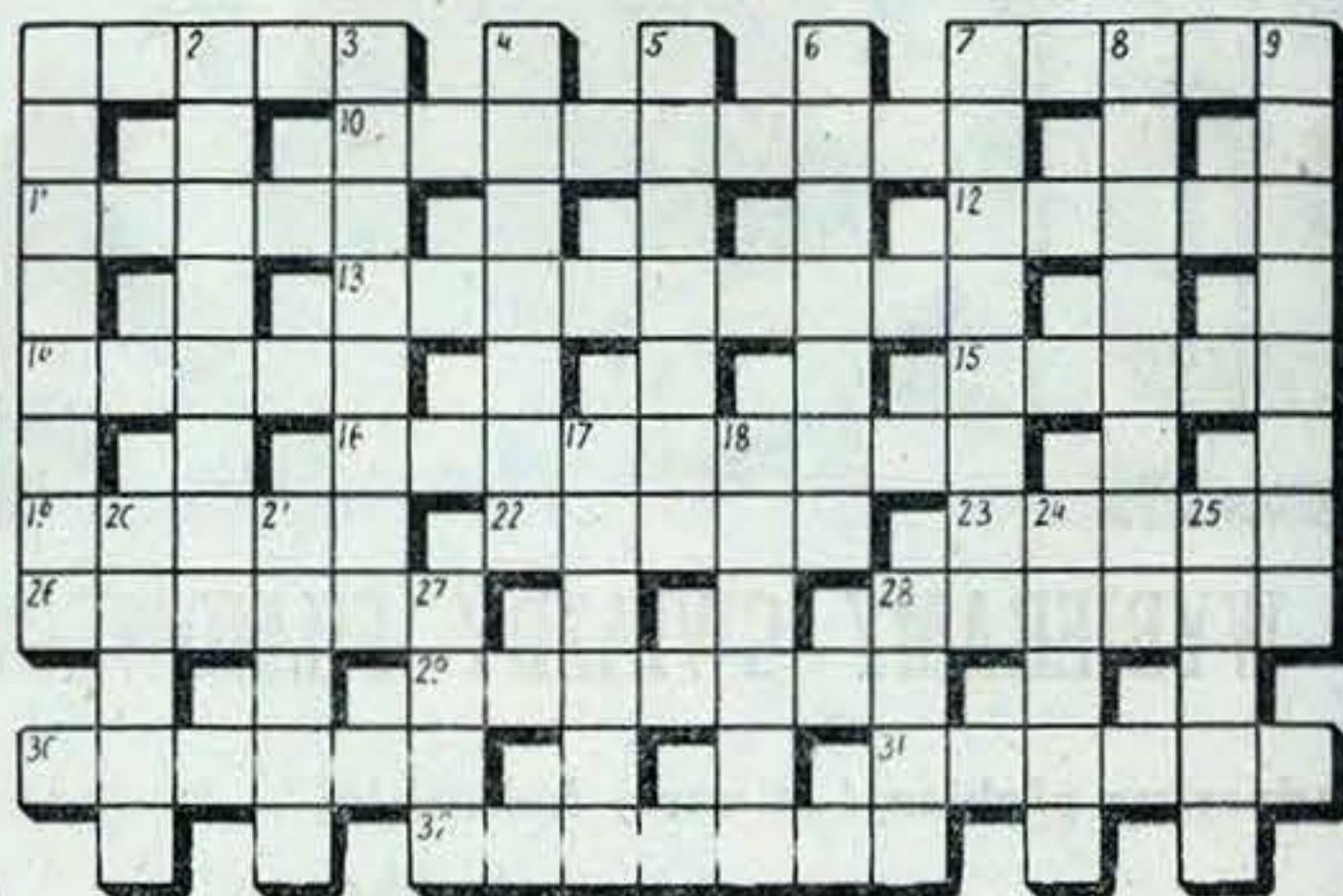
Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Mastowska (stażystka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczel.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski

Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow; sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 71-785.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 65-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotofilmów) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótnów i zmian tytułów.

Zam. 187 I-18

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów

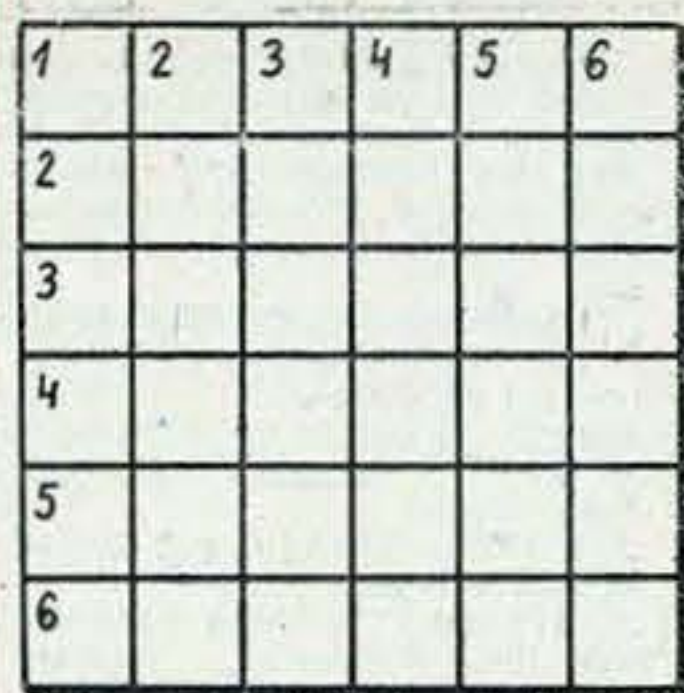


KRZYŻÓWKA

(Oprac.: „SLAWICZ”)

Poziomo: 1. Sposób wyglądania kamieni szlachetnych. 7. Jadowny gad. 10. Rewolwer skonstruowany przez Naganta. 12. Miasto, w którym uchwalono konstytucję nihiłowi. 13. Wojskowy obiekt ziemny przystosowany do obrony. 14. Rodzaj abazuru. 15. Zwój, rolka. 16. Zakład małej gastronomii. 19. Następca G. Nasera. 22. Siedziba biskupa. 23. Japońska walka na kije bambusowe. 26. Nicpoń, gagatek, ziołko. 28. Działacz oświatowy i kulturalny, założyciel i prezes (1957-1972) Lubuskiego Towarzystwa Kultury. 29. Dzwignia w fortepianie. 30. Wytopiane z syderytu. 31. Przedstawiciel jednego z działów biologii. 32. Dawniej miasto (do 1889 r.), obecnie wieś w Kieleckiem.

Pionowo: 1. Dział gramatyki, składnia. 2. Zajmuje się usuwaniem zaburzeń mowy. 3. Marzytka, chimeryk. 4. Noszący kask. 5. Nazwa serii satelitów telekomunikacyjnych (USA). 6. Siad kół na piaszczystej drodze. 7. Jadowny wąż południowoamerykański. 8. Niedolega. 9. Bohater ballady „Alpuhara” w „Konradzie Wallenrodzie”. 17. W delcie Wisły. 18. Przysięga rysunkowa. 20. Nowela B. Prusa. 21. Cwierzbeczek. 24. Srebrzysty metal, lantanowce. 25. Zły duch, szatan. 27. Ukosny ściek materiału. 28. Miejsce zszycia.



KWADRAT MAGICZNY
(Oprac.: „FIJAN”)

Znaczenie wyrazów:

1. Przepluwa przez Kalisz, wpada do Warty.
2. Małka polskiego radioaparatu.
3. Sanacja restauracji.
4. Chrzyszcz, szkodnik lasów iglastych.
5. Najświeższa wiadomość.
6. ...Joma, łańcuch górski w Birmie.

KRZYŻÓWKA TAUOGRAMOWA
(Oprac.: „SPATY”)

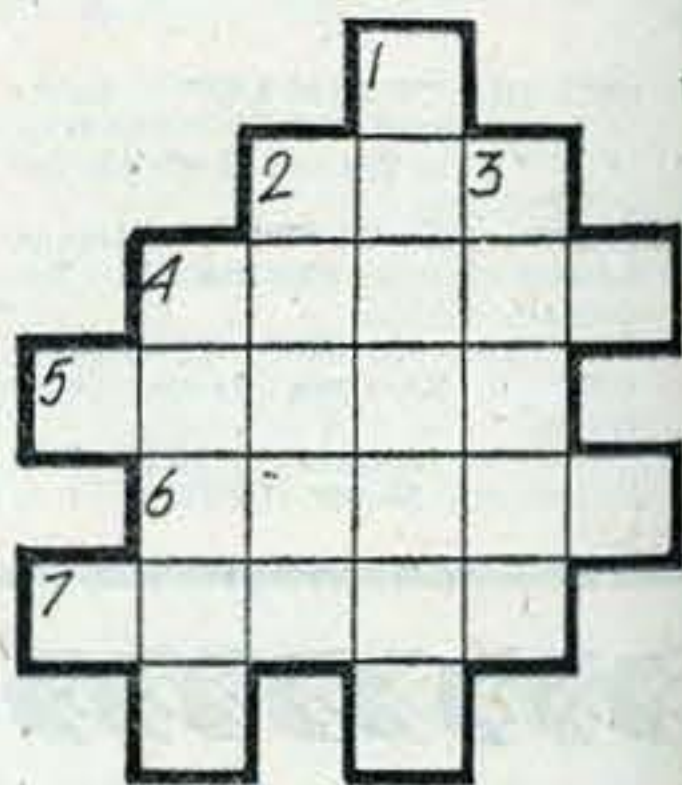
Wszystkie wyrazy krzyżówki mają taką samą literę początkową.

Poziomo:

2. Kucharz okrętowy.
4. Miasto i port nad Adriatykiem w Jugosławii.
5. Zławca wina.
6. Imię najpopularniejszego piosenkarza z Czechosłowacji.
7. Niewielki ptak brodzący z rodziny bekasowatych.

Pionowo:

1. Klika.
2. Twarda trudna topiwa żywica naturalna.
3. Zatycka lub bezpiecznik.
4. Część kończyny po amputacji.



Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić zamieszczony powyżej kupon z zaznaczeniem ilości odpowiedzi — listy z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł.

Rozwiązanie krzyżówki PZU

„Każde dziecko urodzone w kwietniu może wylosować premię posagową PZU” — to prawidłowe hasło nadesłało nam 893 czytelników. Nagrody, ufundowane przez Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Zielonej Górze, otrzymują: bon PKO wartości 3000 zł — Janusz Sikorski z Zielonej Góry bon PKO wartości 2000 zł — Jadwiga Mianowska z Poznania bon PKO wartości 1000 zł — Józefa Kałuśniak ze Slawy Śląskiej bon PKO wartości 500 zł każdy — Franciszek Dziędziński z Malomie, Bożena Brzezińska z Nowego Miasteczka, Roman Lepka z Bronowic, oraz Bogdan Kluj, Rozalia Wójcik, Mieczysław Janczura, Mieczysław Kirchhoff i Leokadia Jurkowska z Zielonej Góry. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.

No, tak, ale my w zasadzie bardzo luźno bimy być sami. Jak to przyjemnie, gdy można coś dla siebie wyłączyć załatwić. Mimo wszystko. Jakże niechęć nie dopuszczamy do siebie skrupuły, że się udało, owszem, lecz kosztem kogoś obok, nawet niekiedy kosztem kogoś bardziej od nas potrzebującego. Mam i już. Reszta świata się nie liczy. Biorąc rzecz biologicznie — wszyscy ko się właśnie w porządku. Ci lepsi, ci uprzywilejowani jakoś, nawet mówią, iż takie jest prawo życia. Zwycięzca i zostaje silniejszy. Więc coś się certyfikować i wymyślać skomplikowaną filozofię?

Skutki takiego pojmowania świata widzimy co dzień. I wcale tak nie jest, że nam z tym tylko dobrze. I wcale tak nie jest, że nie ma wśród nas ludzi wrażliwych, z rozbudowaną wyobraźnią, próbujących wczuć się w sytuację bliźnich. Ale najpierw o zachowaniach egoistycznych, albo może lepiej czasem powiedzieć — o zachowaniach bezmyślnych.

W przedziale pociągu pasażerskiego górne polki na oświadczone. Ktoś w nocy dojadł. Upycha swoją wielką torbę bez specjalnych ceregieli. Nie chce czegoś tam przesunąć, inaczej ustawie, wygospodarować sobie miejsca. Byłoby tylko swoją torbę tam umieścić. Nie, że się inne pogodził, coś się w nich zniszczy, rozleje. Wpakował swój ładunek, na się, między sufitem a cudzymi neseserami. Usiadł. Po chwili jego torba z natesem wyśladowała na kolana i na nogach sąsiadów. W przedziale nieprzyjemne poruszenie. Pareset kilo miewo ośro spokojnie, a teraz...

Na umiarkowanym przyjęciu ciągle głośno, ale słyszeć tylko jedną osobę. Tak, wiadomo. Pan i. Sam gada, sam gawędzi sobie słuchając. Nikt inny nie jest w stanie odcisnąć się do głosu. Głos mowi naderwyczał cichutko, na różne te mały. Przekonany zapewne, iż błyszczy. Obecni oomysliają jednak, w jaki sposób uniknąć go na nasygnym tego typu spotkaniu, a przynajmniej, jak „spuścić go” teraz od siebie, ze swoich młot, urodzin. Coż, miewo wie o tym, że sztuka słuchania jest prawie tak samo trudna, jak sztuka mówienia.

Podobne sytuacje widzimy niekiedy w telewizji. Osoby na poziomie, jeśli iazie o tytuły służowe i inne. Przy re dakcyjnym stole grono zaproszonych do dyskusji. W dwudziestominutowym bloku ktoś się naprzykrza ciągle, mowi dziesięć minut, a ktoś inny — może bardziej interesujący — nie daje rady wciągnąć ani słowa. Pomijam tu obowiązek prowadzącego program.

Mowi się ostatnio częściej o sposobie parkowania samochodów. Major Cnyl w telewizji nawet iagodne straszył mań datami. Zupenie szusnie. Oby tylko celem było racjonalne parkowanie, a nie wzmożone karanie kierowców (acz kolwiek w określonych przypadkach

mandat aż się prosi). Codziennie niemal się denerwuję, z takiego powodu, że gdzieś jest miejsce na ustawienie pięciu aut, a stoją tylko trzy. Przez jakiegoś gburę czy nieudacznika, który swój wóz zostawił tak, jak mu się podjechało.

Na pewnym dużym parkingu, w przed święteczną niedzielę nandlową, aż ucunęno w powietrzu od przekleństw niektorcy kierowców. Pojazdy ustawio ne według zasad wszelkiego bałaganu. Wyjechać nie można, wynieść auta też się nie da. Taki jest skutek myślenia, „był się gdzieś wpechnąć”. A przecież parking ma służyć wielu użytkownikom.

Jakże więc przyjemnie jest być świadkiem sytuacji — prozaicznej, ale jednak — gdy osoba kupująca dwa chmiski piora odstępuje zaraz jedno komus dalej w kolejce, kto tak bardzo cenia takie pito nabyc. „Kiedy in dziej kupię sobie drugie”.

Odnoszę wrażenie, iż jednostki przy chylne otoczeniu, uprzejme, są pogod niejsze, mają lepszy humor, są barziej ludzkie. Wyrozumiałość nie wymaga po święcen imansowych ani naderwyczał nego wysiłku. Mimo wszystko — sądzę — lepiej pamiętać, iż obok nas żyją in ni ludzie. Uswiadamianie sobie tego okazuje się pomocne nie tylko im, „on cym”. A o ileż wtedy nasze dni będą jasniejsze.

STANISŁAW SWINIARSKI

MoRGinałki

KONTEMPLACJA... KŁOZETOWA. Zbigniew M. Jelinek w tomiku poetyckim pt. „Ten nieczytny z wiersza” nie troszczy się o piękne i liryczne słowa. W utworze „Oparty o ścianę w WC na dworcu stoje” pisze: „wiersze czytać / a oni napole uciekają / milicję wzywają / kobietom zastawiają oczy / ty durniu durniu odpierdaj się / na pomoc / wiersze czytam...” Ten miły i niebanalny obrazek jest niewątpliwie ewenementem w dorobku lubuskiej poezji i ma szansę przetrwać w historii.

ANEKSJA! Bydgoskie „Fakty” (nr 14) w „Kronice kulturalnej” donoszą: „Bydgoszczanie: Dorota Siuda i Jarosław Zolnierczyk znaleźli się w grupie młodych skrzypków, którzy jesienią reprezentować będą Polskę na M. Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu”. Czy wówczas zielonogórzanie studiujący w Bydgoszczy staną się poznaniakami?

PRACOWITOŚĆ. Z nieukrywaną przyjemnością czyta się opowiesi Piotra Kun cewicza o dziejach polskiej literatury, publikowane przez „Przegląd Tygodniowy”. Tym razem autor w nr-ze 14 pisma wyznaje: „Proszę o wybaczenie, że na listy nie odpisuję, ale przerasta to już moje możliwości. Już trzeci rok bez chwili przerwy, wakacji, święta czy nie dzieł snuje się ta opowieść, a każdy ty dzieł ma tylko siedem dni. Myślę, że jeszcze jakieś półtora roku i zbliżymy się do końca”. Współczujemy krytyko wi, bowiem Pan Bóg zdołał stworzyć świat w sześciu dniach a siódmego już sobie wypoczął...

DWIE OPINIE. W „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 14) na drugiej stronie znaj

duje się informacja: „Minister J. Urban odpowiadając na nasze pytanie, dłać go brakuje papieru toaletowego, poinformował, że przyczyną deficytu tego wstydlwego towaru jest niewydolność maszyn. Obecnie produkuje się 270 mln rolek a potrzeba 450 mln rolek. Nowa duża maszyna zdolna produkować 100 mln rolek rocznie kosztuje wraz z hałd produkcyjną 4 mld zł”. W tym samym numerze tygodnika, na stronie ostatniej, Andrzej Szpak stwierdza: „Jest to artykuł (papier toaletowy), do produkcji którego nie potrzeba ani komponentów sprowadzanych za dewizy, ani wielomilionowych inwestycji...” Czyżby red. Szpak wiedział lepiej od min. Urbana?

ODKRYCIA PANI EWY. W tygodniku „Fakty” (nr 13) recenzentka Ewa Starosta w szkicu poświęconym „Prozie młodej i najmłodszej” pisze m.in.: „pozostają mi jeszcze przez chwilę w obrębie młodej prozy, tzn. kwestii ewentualnej dramaturgiczności jej sytuacji. Jak wynika z komentarza Krzysztofa Mętraka, jury nagród „Literatury” nie było obcych kilka nazwisk młodych autorów. Dotarła do niego wieść o Wysogładzie, Forystu, Bukowskim, Girtlerze, Wachowskim, Jellence... Nie przeczymy, iż w szczególności dramatycznej sytuacji znalazł się zielonogórski prozaik Zbigniew M. Jelinek, któremu autorka publikacji tak bezceremonialnie zmieniła pleć.

BAGATELKA? Poeta Stanisław Gola dorzuca do obfite serwowanych przez katowickie „Tak i Nie” (nr 15) jeszcze jedno wstrząsające wydarzenie: „Niedawno zwołiono dyscyplinarnie sprzedawcę z kiosku, bo udowodniono mu nakładanie przerwy. Humorystyczny ruch tego zdarzenia i jednocześnie zdziwienie nabywców (jako odruch) wcale nie musi wejść do podręcznika historii powszechnej”. Wejść to nie muszą, ale za to ile wyszło na świat ukochanych bobasków!

NASZE SCENY MIŁOSNE. W tygodniku „Rzeczywistość” m.in. ciąg dalszy

z wyznań erotycznych Anny Białuckiej: „... Czy lubisz wymyślanie pieszczoł ze mną? Czy uważasz, że zawsze na niej tracisz, czy przeciwnie, zyskujesz? — Pytanie uwalnia nie było proste i wymagało chwili zastanowienia. — Lubię wymyślanie pieszczoł z tobą, Piętaszku — odparałam po pewnym czasie — a już najbardziej wówczas, kiedy ja na niej tracę, a ty zyskujesz. Zupenie podobnie — do wiedziałam się za chwilę od Piętaszka, dobierającego się do mojego ucha — jest ze mną. — W takim razie — klasnęłam radośnie — jesteście jakby stworzeni do miłości. — Wygląda na to, że tak — westchnął Piętaszek i zabrał się za moje drugie ucho. I tak już trwało i trwało”. A co było później? Od ucha w dół?

Z LUBLINA O DREZDENKU. Nasz przedstawiciel w Lublinie, prozaik i poeta Janusz Oleczak w liście do miejscowej „Kamery” (nr 7) snuje refleksje na temat czasopism literackich: „A dlaczego wciąż zakładamy, że kultura w blisko półmilionowej aglomeracji ma być wyłącznie deficytowa? Otóż w dziewięćset tysiącnym Dreźnie (dwukrotnie krajowej Mistrz Gospodarności) od dwóch lat ukazuje się miesięcznik, nie zaniedbujący także spraw literackich. Wyobraźcie sobie, że miesięcznik ten o nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy nie daje groźby deficytu. Cuda się dzieją? Wiodcznie tak. Redaktorem naczelnym jest magister historii. Korektę robi emerytowany polonista. Operatywnym autorem jest nauczyciel rysunku i prac ręcznych. W odcinkach „Jeci” powieść niejakiego Oleczaka, również dawnego nauczyciela z gminy Dreźnie. Niechaj nikogo nie drażnią takie gminne przykłady, bowiem Dreźnie od lat usiłuje przezwyciężyć gminne schematy...”. Pismo zapewne wychodzi w podziemnym obiegu, gdyż ja oczy go nie widzieliśmy, zaś drukowana powieść magistra Oleczaka ma zapewne znamiona genialności...

HAGIOGRAFIA I PATOS. Pisząc o Berze, Buczkowskim czy Golebiowskim, zazwyczaj Zygmunt Trziszka pisze właściwie o sobie. Wystawiając im pomniki, nie zapomina o cokołach dla siebie. W u nieseniu hagiograficznym buduje także własną biografię. Lubi patos: „Prawie czterdzieści lat w służbie maszynopisu, często nieczytelnej kopii; bez życia prywatnego, ratujący się często podstawowym polskim neuroleptykiem (...) Cały czas w służbie instytutu badawczego jako ostatniej deski ratunku pozwalającej kontynuować „miserię żywota”...”. Tak pisze w „Zdaniu” (nr 3) nie o sobie, lecz o krytyku Henryku Berezie. Ale tak pisząc o krytyku Henryku Berezie, myśli przede wszystkim o sobie. Ot, dzięki temu, Trziszka uutożsamiony z Berezą, „będzie zapamiętany przez potomnych”. To krzepi!



Rysunek TOMASZA RZESZUTKA z Wystawy Rysunku Satyrycznego pt. PRA-SA Klub Młók Zielona Góra '86.